

„ŻYCIE LITERACKIE”
- CZYLI ZAUFANIE

Ireneusz J. Kamiński

6-7

Słony śnieg

6-7-8

**CZYTELNICY
„KAMENY”
PISZĄ
POWIEŚĆ**

Szczegóły str. 16

**S
A
M
I**

W następnym numerze

RYSUNKI

EDWARDA LUTCZYNA

czas. 2552/1976/3

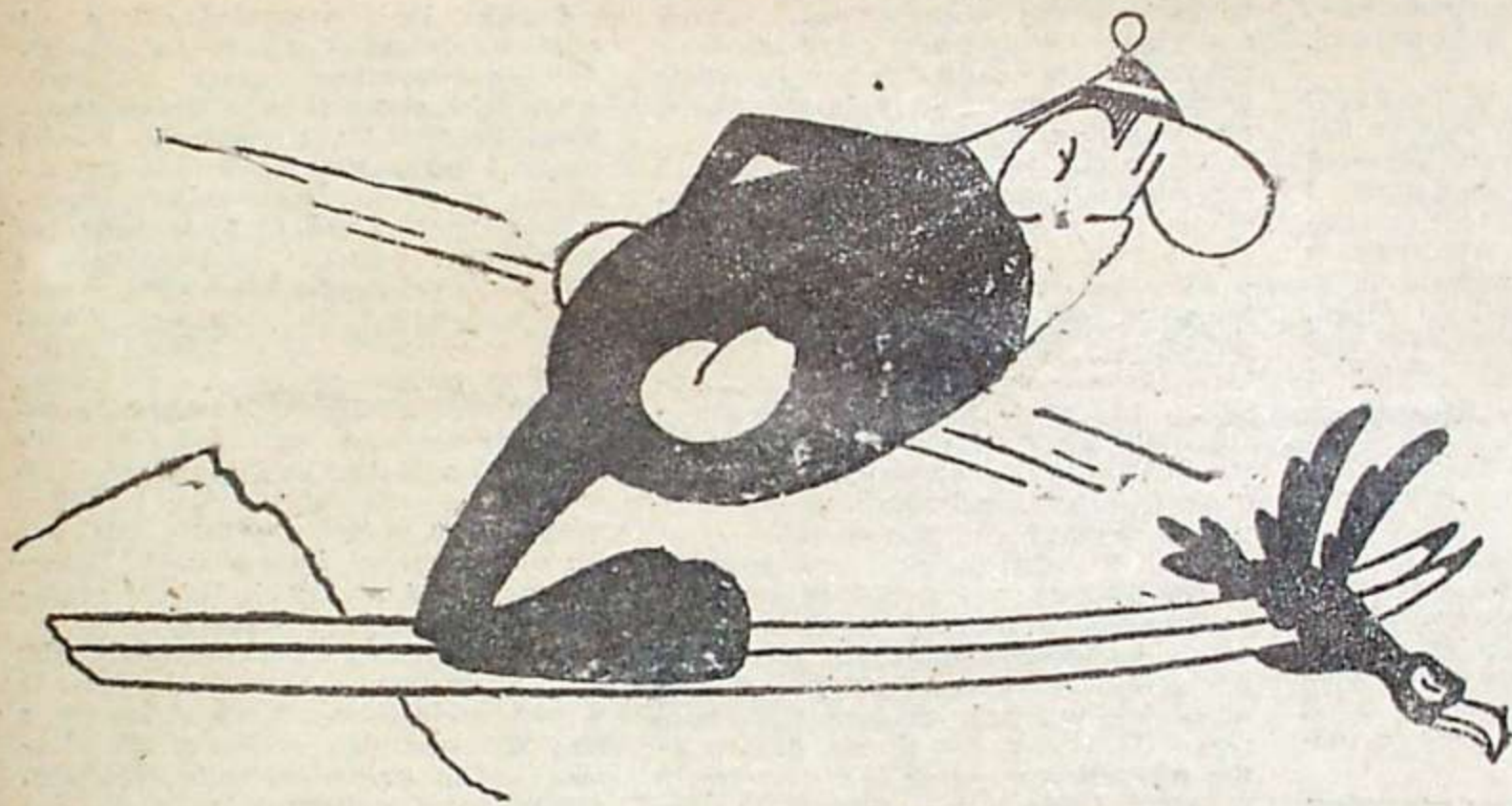
ROK ZAŁOŻENIA 1933

KAMENY

LUBLIN 8 II 1976 Nr 3 (593)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



Rys. W. Fuglewica

PIĘĆ KÓŁEK NAD INNSBRUCKIEM

Zygmunt Mikulski

W TYM roku kometa pięciu kółek olimpijskich prowadzi przez Innsbruck do Montrealu. Innsbruck jest miejscem olimpiady zimowej, Montreal — letniej. Najpierw łyżwy, narciarstwo, bobsleje, saneczki, później kolce, dysk, oszczep, tyczka. Za każdym jednak razem jest to ta sama próba mięśni, próba człowieka. Sport.

Pojęcie to przeszło wyraźną ewolucję od roku 776 przed naszą erą, kiedy powstały olimpiady starożytne, przechodząc również od roku 1896 na nowożytny. Zwiększa się liczba konkurencji, modyfikacji ulega sprzęt techniczny, zmieniają się metody treningu i pomiarów, a proces

sem komplikacji cywilizacyjnych pojawiają się nowe pierwiastki w organizacji sportowego życia. Pozostaje jednak coś trwale niezmiennego: idea sportu. Idea zwycięzania pojętego w najbardziej moralnych i humanistycznych kategoriach, idea aktywizowania w człowieku jego uzdolnień i dyspozycji najlepszych. Nie ma znaczenia, że wyraża się ona „jedynie” za pośrednictwem mięśni. Taki wysiłek, jakiego wymaga wynik sportowy, nie jest możliwy bez koncentracji wszystkich władz — fizycznych i psychicznych — zawodnika, a to właśnie stawia zajęcie sportowe w szeregu wartości wychowawczych, o którą zabiega i zabiegają

ludzkość na przestrzeni całych swych dziejów.

Więc ta sama idea. Ale jest ciągłym zmartwieniem miłośników sportu, czy w swej postaci dzisiejszej zachowuje ona tę „czystość”, tę „helleńskość”, jaką nadał mu legendarny już twórca olimpiad nowożytnych, Piotr de Coubertin. Czy bieg życia nie spycha w dół szczytnej postawy bezinteresownego, trochę błędnego rycerza w krótkich spodenkach, którego chciałoby się widzieć jako odpowiednik średniowiecznego ideału mężczyzny.

Dokończenie na str. 4

List piechura do Zośki Urszuli Kryśki Teresy...

Ryszard Liskowacki

ROZWIDNIŁO się zaledwie i zaraz rzeka mgłą przyniosła. Na lewo i prawo mgła. W niebie i na ziemi. I może jeszcze wyżej i głębiej może. I ani sosnowego lasu, co za plecami, ani rzeki szerokiej na dwie wiorsty, ani tej wyspy, wysepki, jak trzy chłopskie podwórza — na której 3 batalion przez całutki wczorajszy dzień umierał, dogorywał, ani ptaków, ani galezi, ani dróg do brzegu rozmokłego śpieszących, niczego przed oczami, tylko mgła. W strachu myśleli: dla nich dobra przycupną na tamtym swoim brzegu jak kaczki w sítowiu, dla nich, przycupną, przyczają się i będą słyseć każdy nasz szelest, każdy krok i oddychanie nasze nawet. W nadziei myśleli: dla nas dobra. Przeplynie, zgubimy się w tym Bożym mleku. Później wiatr mgłę poszarpał, zmierzwił i już ani strachu nie mieli, ani nadziei, ani myśli żadnej, bo łomot taki przewalił się nagle nad ich głowami, jakby ten cały wojujący do upadłego świat przelamywał się zaczął na cztery części. Taki łomot. I wszystko, co było poniżej tego łomotu, co przy ziemi samej było — strach, krzyk, bieganie, ponaganie, oddychanie, wszystko stało się ciche, zwyczajne i beznadziejnie ludzkie. — Boże ty mój — stary żołnierz do siebie, a może także do swego Pana Boga, z którym od kilku lat wojennych był w zażyłości wielkiej i z którym, w jakimś tam zwyczajnym, byle jakim okopie specjalny sojusz żołnierski zawarł (ja ciebie w żadnej myśli swojej nie opuszczę, a ty mnie też w godzinie żadnej, a także minucie, a także sekundzie żadnej, bo jak ołów taki szybki na ludzkie nieszczęście leci, to mu wystarczy sekunda nawet, żeby i

Dokończenie na str. 11

Wykorzystanie rezerw - proces stały

SA dane, które dają wiele do myślenia. Obecnie w ciągu jednego tylko roku będziemy inwestować tyle, ile w ciągu całego planu 6-letniego. Inaczej mówiąc, dzisiejsza pięcioletka to pięć planów 6-letnich! Starsze pokolenie dobrze pamięta, czym były dla kraju lata powojenne. Najpierw trzyletni plan odbudowy doprowadził naszą gospodarkę do poziomu przedwojennego (z pewnym przekroczeniem). Wówczas można było myśleć o zbudowaniu podstaw socjalizmu w Polsce. Sześciolletni wysiłek inwestycyjny został skoncentrowany na tworzeniu silnej bazy przemysłu socjalistycznego, a przede wszystkim na rozbudowie przemysłu ciężkiego. Ten okres to okres pionierski, okres wielkiej edukacji całego narodu. Dzieciństwo Polski Ludowej. Dzisiaj kraj wkracza w wiek męski. Mamy przemyśl nowoczesny. Około 43 proc. wartości produkcyjnych środków trwałych stanowią urządzenia, których wiek nie przekracza pięciu lat. Dysponujemy też dużym zasobem nowych kadr. Wystarczy powiedzieć, że w latach 1971-1975 zatrudnienie w przemyśle wzrosło o 600 tysięcy osób, to jest o 15 proc., w budownictwie o 35 proc., w handlu - o ponad 20 proc., a w nauce podwoiło się. Ogółem w ubiegłym pięcioletciu przyrost zatrudnienia netto wyniósł 1 800 000 osób. Liczba to olbrzymia.

Na styczniowym, II Plenum KC PZPR premier Piotr Jaroszewicz w imieniu Biura Politycznego wygłosił referat na temat powszechnego wykorzystania rezerw w gospodarce narodowej. Stwierdził on, że równoległe ze wzrostem zatrudnienia następował wzrost wydajności pracy, ale w tej dziedzinie rezerwy są jeszcze duże. I tak np. w latach 1971-1974 wydajność pracy w przemyśle metalowym wzrosła o 37 proc., ale w tym samym czasie techniczne uzbrojenie pracy - o 41 proc. Gorzej jeszcze przedstawiała się sytuacja w przemyśle skórzanym, gdzie wzrostowi technicznego uzbrojenia pracy o 33 proc. towarzyszył wzrost wydajności pracy tylko o 18 proc. i to przy niezadowalającej jakości wielu wyrobów. Dowodzi to, że na tym polu jest jeszcze wiele do zrobienia.

Sprawa to ważna, bo w bieżącym pięcioletciu przyrost zatrudnienia wyniesie 1 300 000 osób, a więc o pół miliona

mniej niż w ubiegłym, natomiast w następnym pięcioletciu skurczy się do 400 000! Przy dynamicznym rozwoju gospodarki, dalszej budowie i rozbudowie zakładów produkcyjnych wytania się konieczność bardziej racjonalnego kierowania kadrą. W bieżącym pięcioletciu oddamy do użytku wiele nowych obiektów produkcyjnych, usługowych, kulturalnych i socjalnych. Trzeba im będzie zapewnić odpowiednie zaplecze i zespoły pracownicze. W tym celu potrzebne jest - jak powiedział premier Jaroszewicz - systematyczne zmniejszanie zatrudnienia w zakładach już pracujących. Zakłady te powinny osiągać realizację swoich zadań w wyniku ulepszeń organizacyjnych i technicznych, a także przez stały wzrost wydajności pracy, przy zmniejszeniu poziomu zatrudnienia.

Rezerwy... Gdzie ich nie ma? Rezerwy proste - to pełne wykorzystanie czasu pracy wszystkich pracowników, każdej maszyny, to należyte wykorzystanie każdego metra powierzchni produkcyjnej, każdego kilograma surowca...

Ale są i rezerwy złożone, po które sięgać trzeba coraz szerzej. Jak? Poprzez modernizację produkcji, poprzez usprawnianie organizacji procesów produkcyjnych, wprowadzanie nowych konstrukcji, technologii i materiałów, podnoszenie kwalifikacji pracowników, stałe doskonalenie kadry kierowniczej.

Ludwik Drożdż, I sekretarz KW PZPR we Wrocławiu mówił na II Plenum KC o tym, jak to wysoko kwalifikowani pracownicy, wespół z brygadystami i mistrzami, tracą około 15 proc. cennego czasu roboczego na wypisywanie kwitów i wyczekiwanie w kolejce po potrzebne materiały. A Witold Dryll, sekretarz Komitetu Warszawskiego, poruszając problem kooperacji, zwrócił uwagę na fakt, iż w FSO na Żeraniu liczba godzin postojowych - właśnie z winy kooperantów - wzrosła w ubiegłym roku ponad trzykrotnie. Natomiast w „Ursusie” na 57 tys. wyprodukowanych w ub. r. traktorów aż 18 tys., a więc praktycznie co trzeci ciągnik, wyszło z montażu niekompletnych i stało pod gołym niebem, czekając na dostawę części od kooperantów. Negatywne przykłady przytoczył w dyskusji minister budownictwa i przemysłu ma-

teriałów budowlanych, Adam Glazur. Analizy wykazują utratę ponad 10 proc. czasu pracy w wyniku wadliwej organizacji i nieprzestrzegania dyscypliny. Wiele czasu i środków traci się na roboty poprawkowe. Ponadto ok. 5 proc. straty czasu powodują nierytmiczne dostawy materiałów oraz niesprawne działanie maszyn. Osobne problem to nieusprawiedliwiona nieobecność pracowników. W 1975 r. wyniosła ona w przedsiębiorstwach podległych resortowi budownictwa 1,8 mln dniówek roboczych.

Świadomość istnienia rezerw oraz konieczności i możliwości ich wykorzystania są coraz powszechniejsze. To dobrze, bo bieżące pięcioletcie, a zwłaszcza jego pierwszy okres, nie będzie należało do najłatwiejszych. Musimy pokonać wiele napięć, które wynikają ze skutków dwóch kolejnych, mniej urodzajnych lat w rolnictwie, z wysokiego poziomu inwestycji, z konieczności zrównoważenia znacznie zwiększonej ponad plan siły nabywczej ludności, a ponadto z konieczności terminowego spłacania zaciągniętych kredytów oraz uzyskiwania - w mniej korzystnej dla nas sytuacji na rynkach kapitalistycznych - niezbędnych środków na dalszy wzrost importu.

Mniej korzystna sytuacja na rynkach kapitalistycznych to m. in. wysoki wzrost cen paliw, surowców i innych materiałów. W związku z tym musimy uzyskiwać w eksporcie zwiększone wpływy dewizowe. Liczy tu się jakość, nowoczesność, atrakcyjność.

Wzrost cen paliw, surowców i innych materiałów nakazuje nam wprowadzenie reżimu oszczędnościowego. W bieżącym pięcioletciu zużycie materiałów w przemyśle wyniesie średnio ok. 1 biliona 400 mld złotych rocznie, a w budownictwie - ok. 180 mld zł. Oznacza to, że uzyskanie jednego, tylko jednego procentu oszczędności w zużyciu materiałów pozwoliłoby na zwiększenie produkcji przemysłowej średnio o ok. 25 mld zł, a budowlano-montażowej - o ok. 4 mld zł rocznie!

Dalej. W zakresie inwestycji premier Jaroszewicz zapowiedział dążenie do pogłębienia dyscypliny. Kwestią kluczową pozostaje dalsze skracanie cykli inwestycyjnych i terminów dochodzenia do projektowanych zdolności wytwórczych. W 1972 r. ów termin dochodzenia wynosił przeciętnie 17,5 miesiąca, a w latach 1974-1975 - niecałe 12 miesięcy. W ciągu trzech kwartałów ub. r. dzięki przedterminowemu opanowaniu zdolności produkcyjnych w wielu obiektach uzyskaliśmy dodatkową produkcję o wartości ok. 9 mld złotych. To cieszy. Ale jednocześnie na skutek opóźnień w opanowywaniu zdolności produkcyjnych w innych obiektach nie uzyskaliśmy produkcji o wartości ok.

5 mld złotych. Znane są przykłady przekazywania do eksploatacji nowych obiektów w sposób niekompleksowy, czasem nawet pomimo widocznych braków i usterek.

Premier zapowiedział, że będzie się kategorię przeciwdziałania - stosując surowe sankcje - wszelkim próbom podejmowania inwestycji poza planem, a także fikcyjnym czynom społecznym, które służą jako parawan dla pozaplanowej i rozproszonej działalności inwestycyjnej.

Problemem samym w sobie jest transport. O tym, jak znaczne rezerwy w zatrudnieniu można wyzwolić przez usprawnienie i mechanizowanie prac w transporcie wskazuje następujący przykład: ręczny przeładunek ok. 55 proc. towarów angażuje blisko 95 proc. spośród 800 tys. pracowników, zatrudnionych w tej dziedzinie.

Podjęliśmy już zadania racjonalizacji przewozów, ograniczenia ich do rozmiarów niezbędnych. Stopniowo zamierzamy - zapowiedział premier - likwidować przewozy ładunków, które mogą być zagospodarowywane na miejscu oraz eliminować przewozy nieuzasadnione, tzw. krzyżujące się. Jest to wciąż jeszcze problem wielkiej wagi - na dziś i jutro.

Poziom życia obywateli zależy od pomnażania majątku państwa, od wielkości wytworzonych przez społeczeństwo dóbr materialnych. Obecna pięcioletka to pięcioletka wyższej jakości pracy i warunków życia narodu, następnym etapem utrwalania zasady racjonalnego wytwarzania i racjonalnego korzystania przez społeczeństwo z efektów swej pracy. Nie można zaspokoić wyższych jakościowo potrzeb każdego z nas bez lepszej jakości pracy. Skutek trzeba wiązać z przyczyną. Przekroczenie zadań planowych to dodatkowe dostawy na rynek. Żyć dostatniej, to i lepiej pracować. Podstawową zasadą polityki płac w 1976 r., podobnie jak w latach 1971-1975, jest zasada socjalistycznej równości rozumiana jako uzależnienie wysokości płacy od ilości i jakości pracy.

Gdy mowa o rezerwach, należy więc przede wszystkim pamiętać o tym, że największe rezerwy tkwią w każdym z nas. Od tego, jak myślimy, jak działamy zależy przyszłość naszej ojczyzny, zależy nasze codzienne życie.

Należy też sobie zdać sprawę, że wykorzystanie rezerw - w szerokim pojęciu tego słowa - jest zarówno procesem technicznym, jak i organizacyjnym i społeczno wychowawczym. To nie jednorazowa akcja, ale proces stały, któremu musi towarzyszyć odpowiedni klimat.

M. J.

Naszej Drogiej Koleżance P. Marii Bechzyc-Rudnickiej najserdeczniejsze życzenia z okazji 88-lecia urodzin (teraz już wiemy, że Mickiewiczowskie 44 = 2 x 44!) składa

Zespół „Kamery”

REFORMATOR SPOŁECZNY I PATRIOTA

Każdy edukacji stanowiciel to poznać najpierw powinien, czym jest człowiek z natury? Czym ma się stać przez wychowanie? Dopiero potem prawidła edukacji ułoży: tak doskonały rzemieślnik wpróż materię poznaje, a gdy, co z niej ma zrobić, postanowi, dopiero wtenczas do swojej pracy narzędzia zbiera.

Ponieważ wspomniana szczęśliwość człowieka-obywatela jest nierozdzielna od szczęśliwości całego towarzystwa, ponieważ szczęśliwość towarzystwa wynika z użyteczności wszystkich mieszkańców jego - przeto końcem edukacji krajowej być powinna użyteczność obywatela. Obierajmy do tego końca sposoby.

(Stanisław Staszic: „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego”)

Dnia 20 I 1976 minęło 150 lat od śmierci jednego z najwybitniejszych działaczy społecznych i politycznych, uczonego i filozofa na przełomie XVIII i XIX w., Stanisława Staszica. Działalność swą rozpoczął po ukończeniu seminarium

duchownego w Poznaniu i po odbyciu studiów przyrodniczych w Collège de France jako doktor praw i wykładowca języka francuskiego w Akademii Zamojskiej. W roku 1787 wyszły jego „Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego”, trzy lata później „Przestrogi dla Polski”.

Publicystykę Staszica znamionuje przede wszystkim niebywale napię-

ty i zaangażowany ton patriotyczny. Ten świadek zaczynającego się upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej całą swą wiedzę i umysłowy temperament poświęcił sprawie ratowania zagrożonej wadami narodowymi sprawności społecznej, sprawie mobilizowania umysłów do podjęcia reform gospodarczych i ustrojowych. W czasach Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego Staszic jeszcze bardziej nasycił swe wystąpienia elementami praktycznej skuteczności, prowadząc intensywną działalność z ramienia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego w latach 1808-1826 był prezesem.

Był przeciwnikiem tzw. nauk czystej. Mimo zdobycia znacznego wykształcenia kładł nacisk na życiową przydatność wiedzy, a żywość umysłu widział przede wszystkim w służbie na rzecz właściwego urzędowania organizacji społecznej. Szczególnie ostro występo-

wał przeciw ówczesnym pozostałościom feudalnym, przeciw uciskowi chłopów i mieszczan, widząc w tym zjawisko szkodliwe nie dla jednej warstwy społecznej, ale dla całego narodu. Sam w przedmiocie rozwiązania problemu wsi dał pamiętny w dziejach przykład tworząc ze swoich dóbr w roku 1816 Hrubieszowskie Towarzystwo Rolnicze - jeden z pierwszych przejawów spółdzielczości chłopskiej w Europie.

Nie zaniedbywał również przydatnych dla gospodarki narodowej dociekań naukowych. Może być uznany za pioniera taternictwa i geologii przez to, że wykonał wiele map geologicznych naszych gór i opublikował je w rocznikach Towarzystwa oraz w osobnym dziele. W latach 1807-1812 Staszic był członkiem Izby Edukacyjnej, w latach 1815-1824 - Komisji Rządowej Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w roku 1824 został ministrem Stanu.

W kulturze polskiej zapisał się postawą racjonalisty przedstawiającego proces rozwoju społecznego jako prawo konieczne, przez co jego nazwisko na zawsze znalazło się w kolebki prądów intelektualnie i społecznie postępowych.

Z. M.

FILIPIAK

W SOBOTE, 24 stycznia 1976 roku zmarł nagle Władysław Filipiak. Uchonorowany właśnie złotą odznaką ZPAP za zasługi w dziele organizacji lubelskiego związku plastyków, zamilkł w pół słowa, w momencie przywoływania przeszłości. Można by zatem powiedzieć, że ta śmierć w lokalu Zarządu Okręgu ZPAP przy Krakowskim Przedmieściu pojawiła się w kostiumie symbolicznym, że los wyreżyserował tę tragiczną sytuację, respektując historyczną przynależność człowieka do świata sztuki. Ale to tylko pozory. Maciej, jak zwała malarza żona i ludzie z jego domem zaprzyjaźnieni, szanując tradycję i własne dokonania dni wczorajszych, najchętniej spoglądał w przyszłość. Dostłownie dwa dni przed śmiercią, podczas spotkania autorskiego w domu kultury LSM, zapraszał przyjaciół do swojej nowej pracowni, którą widział jako miejsce spotkań towarzyskich i dyskusji artystów. Z pewnym zakłopotaniem pytał znajomego, czy ten nie zechciałby przynieść z sobą magnetofonu. „Bo może ktoś zechciałby potańczyć...” Kiedy w 1968 roku po raz pierwszy bardzo poważnie zachorował i lekarze zalecili Mu całkowitą bezczynność, zabraniając wstępu do pracowni, niemal na drugi dzień po wysłuchaniu tych porad wziął do ręki pędzel. I szybko doszedł do siebie. Bo malarstwo dla Filipiaka było powodem do życia, jego sensem i porządkiem moralnym.

Trudno się dziwić, że nie cierpiał miernoty plastycznej, że zwalczał ją bezpardonowo, że posiadając ukształtowane poglądy estetyczne — które bliższe były wierze, niż wyspekulowanym intelektualnie sy-

stemom — na każdym miejscu podejmował dyskusję z rzecznikami odmiennych postaw. Bywał w tych starciach gwałtowny, już jako u-



Fot. A. Polakowski

czeń Wolnej Szkoły Malarstwa i Rysunku L. Mehofforowej (filia szkoły krakowskiej) nie zgadzał się na korektorskie interwencje profesorów, nawet gdy byli to artyści tej klasy, jak Jan Wydra. Podczas sprzeczki przed otwarciem pierwszej w Lublinie wystawy związku plastyków (1937) „oprawił” swego adwersarza — oficera o aspiracjach malarskich przekraczających jego faktyczne możliwości — w ramy o-

brazu, który znalazł się właśnie pod ręką. Miał wówczas 29 lat i przeżywał lubelskiej organizacji związkowej.

Jako artysta wychował się w krakowskiej pracowni Zbigniewa Prosnaszkę, należał zatem do licznej grupy tych malarzy, którzy uznali za podstawowy środek kreacji malarskiej. A przecież obrazy

obrazów. Namalował wiele pejzaży kaszubijskich, lubelskich i białowieskich, ale więcej one mówią o osobowości Filipiaka, niż o realnych modelach. Budowane szybkimi uderzeniami pędzla, o grubej i pofalowanej fakturze, błyskające szczelinami światła, otwartymi w ciemnych błękitach, zieleniach, złamanym czerwieniach — są dokumentacją osobowości reagującej na świat spontanicznie, gwałtownie, zmysłowo. Ale nie ma w nich chaosu, śladu decyzji przypadkowych. Filipiak był bowiem twórcą pełnym, szczeniakiem ładu w życiu i sztuce i ład ten osiagającym w swym malarstwie — drogą intuicji. Życie swoje codzienne także zdołał uporządkować, chyba dzięki żonie, Jadwidze, której imię żartobliwie sparafrazował w nazwie żagłówki, służącej im obojgu do wiatłanych, kaszubijskich rejsów.

Pierwszą poważną wystawę miał w krakowskim Pałacu Sztuki w 1932 roku. Od trzech lat sposobil się do dużej retrospektywy jubileuszowej. Minął termin właściwy, minęły następne miesiące i lata, a Filipiak ciągle nie miał pewności, czy właściwie skompletował zestaw obrazów. Jeszcze niedawno przez godzinę opowiadał mi telefonicznie o swoich wątpliwościach, wspominał o trudnościach, jakie stwarzały mu okoliczności i pewni ludzie... Sztukę traktował poważnie, wierzył w jej nieśmiertelność. I to chyba było najbardziej indywidualnym rysem Jego osobowości twórczej, wyróżniającym Go zdecydowanie spośród dzisiejszych plastyków.

Urodził się Władysław Filipiak w 1908 roku i przez całe życie mieszkał w Lublinie. Miasto wielokrotnie nagradzało artystę, którego malarstwo okazało się trwałą wartością naszej kultury.

Ireneusz J. Kamiński

NIEKTORZY zbrodniarze mają fenomenalne szczęście. Do nich należy niewątpliwie Hermann Hackmann, Hauptsturmführer SS, pierwszy kierownik obozu więzińskiego na Majdanku, którą to funkcję objął po odbyciu specyficznego stażu w obozach koncentracyjnych w Buchenwaldzie i Lochsenhausen, a potem sprawował ją w Buchenwaldzie i Sachsenhausen. Za to, że nie wszystkie ze zrabowanych kosztowności przekazywał do skarbu Rzeszy, został skazany na śmierć przez sąd SS. Ale to było już pod koniec wojny i wyrok nie został wykonany. Drugi raz stanął przed sądem w roku 1947 — tym razem przed sądem amerykańskim — i za swoje zbrodnie wojenne w Buchenwaldzie został powtórnie skazany na śmierć. Ale wtedy wraz z postępującą tzw. fraternizacją zmieniano mu wyrok: najpierw na dożywotnie więzienie, potem na dwadzieścia pięć lat, a skończyło się na siedmiu latach, które odsiedział w zupełnie przyzwoitych warunkach. Od marca 1955 roku żył sobie spokojnie w RFN sądząc, że wyrównał już wszystkie rachunki życiowe.

Ale przeliczył się. Obecnie jest jednym z siedemnastu oskarżonych o zbrodnie popełnione w obozie koncentracyjnym na Majdanku. Proces toczy się już od trzech miesięcy przed się Izba Karną Sądu Krajowego w Düsseldorfie na podstawie materiałów zebranych i opracowanych przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Stwierdzenie, że proces „toczy się” jest jednak stwierdzeniem na wyrost. Procedura w sądach RFN, sięgająca jeszcze do czasów innego żelaznego kanclerza, Ottona Bismarcka, pozwala adwokatom na stosowanie całego arsenału sztuczek formalnych, zmierzających bądź do przeciągnięcia całego procesu, bądź nawet zdyskredytowania świadków za nim jeszcze zdążyli oni składać merytoryczne zeznania.

Drugą osobą oskarżoną w tym procesie, którą przez wiele lat także omiatała sprawiedliwość, jest Hermine Braunsteiner. Ponieważ do SS nie przyjmowano kobiet, wstąpiła ochotniczo — już w 1939 roku — do służby w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Po „przeszkoleniu” w Ravensbrück została zatrudniona komendantką obozu kobiet na Majdanku, odznaczając się tu „złotym” merytorycznym. Jest bezspornie odpowiedzialna za śmierć wielu więźniarek różnych narodowości. Za wojnę wy-

szła za mąż za sierżanta armii amerykańskiej Raffela Ryana i zatajając swoją przeszłość, uzyskała obywatelstwo amerykańskie. Zataiła także, że w roku 1948 sąd austriacki w Wiedniu za zbrodnie popełnione w Ravensbrück skazał ją na trzy lata więzienia, którą to karę odsiedziała. Przed rokiem głośny był w świecie jej proces przed sądem imigracyjnym w USA, zakończony ekstradycją do RFN. Jest jedyną spośród osób oskarżonych w

obecny proces, która nie odpowiadała z wolnej stopy. Spośród 15 innych zbrodniarzy na osobne wzmianki „zasługuje” jeszcze kilkoro. A więc Hildegarda Lächert, strażniczka zwana „krwawą Brygidą”, sanitariusz obozowy August Reinartz zwany „Zębątem” ze względu na szczególnie wysuniętą szczękę, który selekcyjnie wysyłał do komór gazowych, osobiście zaszczepiał zarazki tyfusu i ze szczególną satysfakcją zabijał dzieci. Dalej — pracownik oddziału politycznego Emil Laurich, który osobiście rozstrzeliwał więźniów obozowych jak i przywożonych z Zamku, a w czasie przesłuchań pejęciem wybił oczy; był później aresztowany przez SS, ponieważ tylko część zrabowanych kosztowności przekazywał drogą służbową — ale nie wiadomo czy i jaki wyrok otrzymał. Sadyzmem wyróżniał się także Arnold Strippel, kierownik obozu więzińskiego, skazany razem z Hackmannem na dożywotnie więzienie za zbrodnie w Buchenwaldzie, ale któremu potem wyrok znacznie złagodniono.

Ponieważ jeszcze teraz byli więźniowie mogą składać zeznania przed Okręgową (w Lublinie) lub Główną (w Warszawie) Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich, podają nazwiska pozostałych oskarżonych: Hermine Bötcher, Thomas Ellwanger, Heinrich Grossman, Günther Konietzny, Charlotte Mayer, Alicja Orłowski,

Fritz Petrick, Ernst Schmidt, Robert Seitz, Rosa Süß i Heinz Villain. Wszyscy byli strażnikami (strażniczkami) obozowymi, jedynie Schmidt pełnił funkcje lekarza obozowego — ostatnio praktykował w Uetze w RFN.

Jak zdołano dotychczas ustalić — w czasie ewakuacji obozu w połowie 1944 roku część akt hitlerowskiej zniszczyli lub zabrali ze sobą — załoga obozu na Majdanku liczyła ogółem

1037 osób i wszyscy — poza 25 kobietami — byli członkami SS, organizacji uznanej w Norymberdze za organizację zbrodniczą. Ilu z nich zostało skazanych za popełnione tu zbrodnie? Niewiele — zaledwie 115. Złożyło się na to wiele przyczyn. Tuż po zakończeniu wojny okupacyjne władze amerykańskie i angielskie — do tych stref chronili się zbrodniarze — dość chętnie zgadzały się na ekstradycję zbrodniarzy wojennych, potem jednak nadszedł okres zimnej wojny i uzyskanie ekstradycji stało się niemal niemożliwością.

Z drugiej strony, w pierwszym okresie po wojnie władze polskie nie dysponowały danymi personalnymi obozowych zbrodniarzy, a także świadkami konkretnych zbrodni. I to z dwóch względów. Wewnętrzne ruchy imigracyjne objęły przecież miliony ludzi, z drugiej strony byli więźniowie bardzo często nie znali nazwisk hitlerowskich funkcjonariuszy, a jedynie przezwiska, jakie im nadano w obozowym świątku. Stąd też konkretyzowanie zarzutów było bardzo utrudnione. Był również okres, gdy zachodni Niemiec władze śledcze i sądowe nadesłane z naszego kraju materiały dowodowe po prostu odkładały do szuflad czy na półki. Sądy amerykańskie czy angielskie przeprowadziły wprawdzie (póki istniały) szereg procesów strażników obozowych. Czasem nawet pojawiały się tam nazwiska zbrodniarzy,

znanych z obozów położonych na terenie naszego kraju, ale wyroki dotyczyły wyłącznie zbrodni popełnionych w innych obozach koncentracyjnych, w których „pracowali” wcześniej lub później, jak to było np. z Hackmannem czy Strippelem.

Jeżeli chodzi o Majdanek warto przypomnieć, że początkowo był to Kriegsgefangenenlager, a więc obóz dla jeńców wojennych (radzieckich), chronionych normalnie przez Konwen-

cję Genewską, z czym jednak hitlerowcy weale się nie liczyli.

Pierwsze dochodzenia w sprawie zbrodni popełnionych na Majdanku rozpoczęła już w lipcu 1944 roku specjalnie powołana komisja polsko-radziecka, a jej członkiem był m. in. prokurator Jerzy Sawicki, późniejszy profesor Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego i prokurator Najwyższego Trybunału Narodowego, znakomity publicysta i popularyzator prawa pod kryptonimem „Lex”. Pierwsze wyniki badań komisji zostały opublikowane już po kilku miesiącach w broszurze, która dzisiaj należy do rzadkości bibliograficznych.

Pierwszy proces zbrodniarzy z Majdanka w grudniu 1944 roku zakończył się pięcioma wyrokami śmierci (szósty, oskarżony popełnił w celi samobójstwo). Potem były inne procesy. Np. w dniu 10 czerwca 1948 roku Sąd Okręgowy w Lublinie skazał na karę śmierci komendantkę obozu kobiecego (od października 1942 roku do czerwca 1944 roku) Elzę Lleschen Friedę Ehrlich, jedyną najwyższą wymiar kary zastosowany wobec kobiet.

Dokończenie na str. 8

Kamena str. 3

ZAGROŻENIE

Jerzy Dostatni

Leonid Wyszesławski

POETA

Gdy wędrował po kraju świeżym jeszcze od kroi,
ślady jego stóp tułiła każda droga
a proci już czekali nań w każdej wsi
przyjmując go za najprawdziwszego boga.

On — poeta — ukochał trwanie ziemi, jej pył
i wczuł każdą z dusz tej miłości najszczerzej.
Szczęśliwie za nim dzieci i kobiety szły;
to wiodł je głos sumienia przemawiający z wierszy.

Był poezją! — a ona cała żyła w nim;
na chutorze, w podróży czy morskiej przystani

przemieniała wodę w win wyborny płyn,
lub głodnych nasycala chleba okruchami.

Rybackiej sieci zagęszczony splot,
cummy, drzewce nosideł i dzbany gliniane
do gwiazd dłońmi wznosiła aby wszystko to
wieszczą ideą świeciło jak bezcenny diament.

Czego nigdzie nie kupi za jarmarczny grosz,
hojna poezja sercom dawała to darmo,
ślepcom ich ślepy odmieniała los
i jak w znanej legendzie

wskrzeszała umarłych.

Tłumaczyli:

Maria Pajdowska
Marian Janusz Kawalko

PIĘĆ KÓŁEK NAD INNSBRUCKIEM

Dokończenie ze str. 1

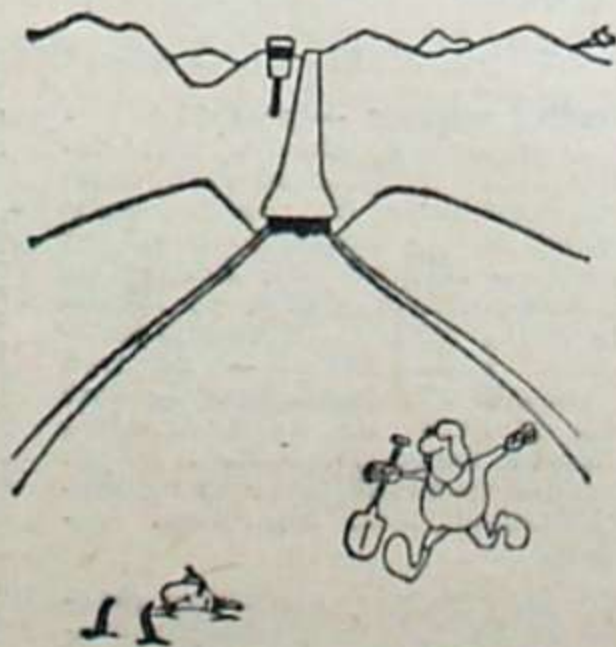
Zastrzeżenia są, ale nie można nie zauważyć, że legitymują się pewnym anachronizmem. Postawmy kropkę nad „i”: chodzi o amatorstwo. Są dwie możliwości: Albo sprawę wyczynu, a może i kultury fizycznej, pozostawimy dobrej woli grup społecznych mniej więcej na podobieństwo niegdysiejszej działalności charytatywnej, a wtedy będziemy mieli zagwarantowaną „czystość” sportu z absolutną pewnością niskich wyników, albo ujrzymy potrzebę — jak to się dzieje wszędzie — przewodniej roli państwa, które niech uruchomi wszystkie dostępne środki dla zapewnienia optimum i maksimum sportowych rezultatów. Sport jak może żadna dziedzina życia społecznego został zaawansowany w nowoczesność i nie sposób dotrzymać kroku dzisiejszym potęgom, nie stosując ich metod organizacji, jak nie ma szans w konkurencji z zaawansowaną techniką chałupnictwa. Gdzie zresztą powód do rozdzierania szat, jeśli się utalentowanemu chłopcu ujmuje ciężar udziału w pracy zarobkowej, który to ciężar byłby mu drugim po wysiłku utrzymania się w wysokiej dyspozycji sportowej? I chyba nie przeczy to czystej idei sportu, którą można wyrazić następująco: przekonajmy się do czego zdolny jest człowiek; przekonajmy się, to znaczy uwolnijmy go od ciężarów, które mu w tym jednym kierunku osiągnięcie najwyższego rezultatu utrudniają. To nie głos za „zawodowstwem”. To protest przeciw hamulcom najlepszości.

Współczesna olimpiada jest karnawalem całego świata. Nie tylko w tym sensie, że odbywa się pod auspicjami pięciu kół symbolizujących pięć kontynentów, ale również w tym, że angażuje profesje z uprawianiem sportu nie mające nic wspólnego. Polityka, dziennikarstwo, administracja, opinia intelektualna, technika, komunikacja — to wszystko aktywizuje się z tej racji, że gdzieś na kuli ziemskiej trwa bitwa o medale. Olimpiada nie jest wyłącznie wydarzeniem sportowym, jest punktem styku narodów i rządów, kolorów skóry i osobliwości obyczajowych, parotygodniową wieżą Babel ludzkości manifestującej swą jedność w dążeniu do „naj”. I ten charakter dzisiejszej olimpiady to starożytny „pokój boży”, który obowiązywał w czasie agonów.

„Białe szaleństwo”, czyli sporty zimowe, nie od razu zostały włączone do programu igrzysk olimpijskich. Stało się to dopiero w r. 1924 w Chamonix, gdzie odbyła się pierwsza olimpiada zimowa, a właściwie rok później, bo na posiedzeniu Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego w Pradze, gdzie imprezę w Chamonix uznano za o-

limpiadę. W czasie trwania figurowała ona pod nazwą „Międzynarodowy Tydzień Sportów Zimowych”. Dodajmy, że emblemat pięciu kół również nie od razu znalazł się w szyldzie olimpiady, a nawet nie na olimpiadzie zadebiutował. Po raz pierwszy flaga z pięcioma kołami została wciągnięta na maszt 5 kwietnia 1914 roku w Aleksandrii, a autorem tego symbolu — co ciekawe — był sam Coubertin. Również nie od pierwszej olimpiady nowożytności zawodnicy składali przysięgę olimpijską. Pierwszą olimpijską przysięgę złożył Belg Victor Boin 20 kwietnia 1920 r. na VII Olimpiadzie w Antwerpii. Ta olimpiada — z kolei — była pierwszą, która „przeskoczyła” numer. Jej poprzedniczka w Sztokholmie w roku 1912 miała numer V, ale ze względu na wojnę olimpiada VI w roku 1916 się nie odbyła, mimo to do numeracji wchodzi. To samo dotyczy olimpiad XII i XIII, które przypadły na lata 1940 i 1944. Osobliwe, że rygoru tego nie zastosowano do olimpiad zimowych. Ich numeracja nie uwzględnia „wakatów” wojennych, tak więc rozpoczęte cztery dni temu XII Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Innsbrucku są rzeczywiście dwunastym z kolei tego szczebla wydarzeniem sportowym w zakresie sportów zimowych.

Stolicę Tyrolu, Innsbruck, spotkał ten zaszczyt, że miejscem olimpiady jest po raz drugi. Po raz pierwszy — w r. 1964. W podob-



rys. W. Fuglewicz

nym położeniu znajduje się jedynie Saint Moritz, gdzie olimpiady zimowe odbyły się w latach 1928 i 1948. Jeśli chodzi o letnie nie może się takim szczęściem pochwalić żadna miejscowość, każda olimpiada letnia w danym mieście — nie wyłączając Aten — odbyła się tylko raz.

Innsbruck chce się zrehabilitować. W r. 1964 w Alpach nie dopisała zima, stąd sportowa strona imprezy nie przedstawiała się najokazalej, w tym jednak roku wyposażenie techniczne centrum olimpijskiego w Seefeld ma skompensować nawet ewentualne niedociągnięcia aury,

Urządzono nowy, sztucznie zamrażany tor w Igls, duża skocznia na Berg Isel mieści 75 000 widzów. Rekord bije frekwencja. Same zawody łyżwiarskie (jazda szybka i figurowa) obejrzy więcej osób, niż dwanaście lat temu było widzów na wszystkich konkurencjach. Innsbruck w ciągu tych dwunastu dni „przepuści” półtora miliona ludzi. „Wioska” olimpijska (osiedle czterech i jedenastopiętrowych wieżowców) gości 2 tysiące zawodniczek i zawodników oraz 4 tysiące organizatorów. (Proporcja? Nie sądzmy że to znamię naszych czasów, czy naszego „kręgu kulturowego”: ekipa Indonezji na olimpiadę w Helsinkach liczyła 3 zawodników i 11 osób towarzyszących). Jedynie burmistrz Alois Lugger może mieć niespokojne sny z powodu owych 3 750 000 dolarów przewidywanego deficytu, ale za to Innsbruck stanął na wysokości olimpijskiego zadania. Podobno gorzej jest z Montrealem.

Wyścig po medale odbywa się nie tylko na stokach Patscherhofel, ale również w ... przemyśle. Przedstawiciel firmy Fischer zakomunikował, że na poszukiwanie nowości w sprzęcie i stroju wydano 7 milionów szylingów. Jeśli porównamy to z 72 milionami kosztów budowy centrum olimpijskiego... Ale Austriacy mają przez to nadzieję na „tajną broń” w postaci „cudownych nart” i „cudownych strojów”, które pozwolą na uszczkniecie 0,8 sek. w zjazdach, a dodanie 3—7 m w skokach. Nie wiemy jeszcze, jak będzie w Innsbrucku. W każdym razie „tajna broń” użyta przez reprezentantów RFN na Konkursie Czterech Skoczni okazała się raczej niewydalem.

U nas w kraju mamy do zanulowania zainteresowanie nie tylko olimpiadą, ale również tym, co z powodu olimpiady przyczyni się do podniesienia kultury fizycznej, do dopływu w organizm sportu „świeżej krwi”. Cały rok 1976 jest rokiem olimpijskim. Rada Główna Federacji Socjalistycznych Związków Młodzieży Polskiej, Centralna Rada Związków Zawodowców oraz Główny Komitet Kultury Fizycznej i Turystyki ogłosiły Olimpijski Alert Młodzieżowy — rozłożony na poszczególne miesiące szereg ćwiczeń mających na celu podniesienie sprawności fizycznej młodego pokolenia. Będą to: Harcerska Wiosna Olimpijska, Biegi Zwycięstwa, Narodowe Biegi Przełajowe 76, Igrzyska Sportów Obronnych i Pływackie Soboty. Każde województwo ma swój sztab Alertu, tak więc akcja osiągnie rozmiar ogólnokrajowy.

Przez cztery lata oczekiwany moment nastąpił. Rozbrzmiał olimpijski hymn, zapłonął płomień, zapołała flaga z pięcioma kołami. Znaleźli się w szrankach najlepsi. Jest to jednak wydarzenie nie tylko świata sportowego. Jest to wydarzenie świata. Jeszcze jeden wiekami ludzkiej tradycji uwidocznił postulat dążności wwyż.

Zygmunt Mikulski

PODOBNO w roku 1972 łódzki oddział Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego proponował, aby Biała Podlaska, a w szczególności „Bławena”, wtedy zakład dopiero co uruchomiony, gościła krajowe sympozjum, które głównie miało obradować o bezsensie lokalizowania przemysłu na terenach nie posiadających tradycji przemysłowych. Nie wiadomo, czy „Bławena” miała służyć jako żywa egzemplifikacja zasadniczego tematu obrad, w każdym razie dyrekcja zakładu uprzejmie zrezygnowała z dostojnego sympozjum. Gdyby zaś temat owego sympozjum potraktować całkiem serio, to należałoby przeprowadzić likwidację nie tylko samej „Bławeny” czy na przykład chełmskiej fabryki butów, ale również Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, bo na tamtym terenie akurat nie było tradycji dla nowoczesnej cywilizacji przemysłowej.

Powiadają, iż podłoże wielu cywilizacji jest krwawe. Zakłady Przemysłu Welnianego „Bławena” powstawały na gruntach podbiałskiej wioski — Sidorki, budowane na ogół terminowo w latach 1967—1971. Ale wprawdzie było stoczyć bezkrwawą wprawdzie, lecz nader uciążliwą kampanię o wywłaszczenie tych 10 hektarów, na których teraz znajduje się fabryka, a wtedy znajdowało się ponad 60 działek, mających stu i kilkudziesięciu właścicieli.

Obecnie w pobliżu „Bławeny” stoją cztery bloki mieszkalne dla kadry — pierwszy oddano już w roku 1969. To całkowicie zaspokaja „kadrowe” potrzeby mieszkaniowe i słysze, iż w tym względzie żaden



Przędzalnia

zakład w resorcie nie ma tak dobrać jak „Bławena”. Kadra jest z zewnątrz, ale sporo osób pochodzi z tych stron — z zachodu kraju wrócili po prostu na „rodzinne śmiecie”, wykształceni i doświadczeni już fachowcy.

Blisko dwie trzecie załogi to młode kobiety i panny z okolicznych wiosek. Część dojeżdża z odległości do 50 kilometrów, ale większość mieszka na stancjach w Białej Podlaskiej, płacąc po kilkaset złotych miesięcznie za lokale nader skromne, bo aka też jest substancja mieszkaniowa wojewódzkiego miasta. Na terenie byłej wsi Sidorki rozciąga się teraz ulica Sidorska, nie zmienia to jednak kilkukilometrowej odległości zakładu od centrum mieszkalnego Białej. Tymczasem o obsługiwanej przez PKS komunikacji miejskiej wszyscy mówią, że fatalna, i kwestię spóźnień do pracy, szczególnie na ranną zmianę, odczuwa „Bławena” dotkliwie. Dla 300 dziewcząt, spośród dojeżdżających ze wsi i z samej Białej, potrzeba lokum w pobliżu zakładu właściwie już na wczoraj. Toteż w „Bławenie” myślą o budowie przejściowego hotelu robotniczego z mieszkaniami M-2 i M-3. Co z tego wyniknie, zobaczymy.

Druga sprawa, że natura nie śpi, dziewczyny wychodzą za mąż i sposobią się do macierzyństwa. Kobiety w ciąży nie mogą pracować przy maszynach i w nadmiernym hałasie, a jest to branża gdzie dużej liczby decybeli nie da się na razie zlikwidować. Trzeba przesuwac niewiasty do lżejszych robót, wyszukiwać takie prace.

JAKOŚĆ PRACY, JAKOŚĆ ŻYCIA

TANIO I EFEKTOWNIE

Maciej Podgórski

Powstaje także problem, co potrafi młodzieżka tkaczka, rodem na przykład z Ciecibora Dużego, choćby przeszkolona w przykładowej szkole zasadniczej, w porównaniu z doświadczonymi, o 20, 30-letnim stażu, robotnicami z zakładów włókienniczych w Bielsku-Białej czy Łodzi? I faktycznie, początkowo handlowcy narzekali na tkaniny z „Bławeny”. A to pilling (dopuszczalny stopień tak zwanego zmechacenia) za duży, a to gramatura niewłaściwa (zmiany gęstości tkaniny, czyli zgrubienia lub przereźnięcia)... I mogłoby się здаwać, że organizatorzy wspomnianego na początku sympozjum mają pełną rację. Tak by w każdym razie wyglądało w kontekście kłopotów z młodą i niedoświadczoną załogą kobiecą, problemów infrastruktury komunalnej.

Istnieją jednak oczywiste ceny, które za uprzemysłowienie terenu

do miejsca pracy... W odpowiedzi słyszę, że bywało rozmaicie, ostatnio jest już znacznie lepiej. Spada liczba zwalnianych i zwalnających się, a ponadto słyszę, iż młody personel — rzecz z pozoru paradoksalna — jest „łatwiejszy” przy dynamicznym zarządzaniu i kierowaniu produkcją, niż ludzie o długoletnim stażu zawodowym. Średni zarobek miesięczny w „Bławenie” wyniósł w ubiegłym roku 2910 złotych, i to również ma swoje znaczenie dla stabilizacji załogi oraz zakładu. Stabilizacja nie oznacza wszak stagnacji, toteż wiele mi mówiono o planowanej modernizacji i rozbudowie tkalni kosztem blisko 250 milionów złotych jako inwestycji już centralnie zatwierdzonej. Przede wszystkim wymieni się krosna.

Obok problemów wiążących się z lokalizacją przemysłu w „terenie surowym” przeżywa „Bławena” trud-

wania, zamówień na wyrost i tak dalej — zupełnie jak w serialu „Dyrektorzy”. Fabryka w Białej Podlaskiej ratuje się poprzez dorabianie elementów maszyn we własnym warsztacie, co jednak, przy braku dobrych materiałów i niespecjalistycznym oprzyrządowaniu, daje efekty nie zawsze najdoskonalsze. Ktoś mi powiedział, iż włókienniczy przemysł maszynowy, mając napięte zadania produkcyjne w zakresie kompletnych urządzeń, wykorzystuje je kosztem produkcji części zamiennych... Nie potrafię ustosunkować się do tego stwierdzenia.

Inny problem — z rzeką Krzną. Zakład ma ujęcie brzegowe i pobiera średnio na dobę około 5000 metrów sześciennych wody, którą uzdatnia dla swoich potrzeb we własnej stacji oczyszczania. I wszystko było w porządku do momentu, kiedy ruszyła przetwórnica mięsa w Łuko-

Tani, dobrze uszyty garnitur z niedrogiej i atrakcyjnej tkaniny, garnitur, który nie „nosi się” latami (bo moda szybko ewoluje), lecz po krótkim czasie zmienia na inny, równie tani i efektowny — oto pożądana nowoczesność w zakresie ubioru polskiego tatusia. Gdy jednak wędruje po sklepach włókienniczych i odzieżowych, odnoszę wrażenie, iż nasi producenci gustują raczej w tkaninach solidniejszych i droższych, a dowiaduję się też, że polskie normy w dziedzinie tkanin są bardziej rygorystyczne niż, powiedzmy, normy zachodnie, gdzie bardziej idzie o wykończenie niż o bezwzględna jakość surowca.

Byłby to u nas rodzaj tradycjonalizmu sprężonego na linii: producent — handel — klient. Tradycjonalizmu, wartego chyba przełamania. Jeśli rzecz można, iż nasze sklepy tekstylne i odzieżowe są coraz lepiej zaopatrzone (zapasy lubelskiego „Otexu” w zakresie tkanin wełnianych sięgają aż 119 dni), to również można powiedzieć, że nie zawsze atrakcyjność wzornictwa idzie w parze z „taniością”. Toteż z satysfakcją kupilem przed świętami w stoisku „Bławeny” w lubelskim PDT bardzo efektowną kratę na spodnie po 180 złotych za metr (mieszana argony z elaną). Na tym stoisku furorę robiły „teksasy” i „arizony” jednobarwne, może tylko nieco za drogie, bo z domieszką wełny.

Na przecięciu: producent — handel warto też wymienić dobre kontakty „Bławeny” z lubelską „Gracją” oraz Technikum Odzieżowym w Lublinie. Zarówno szkoła jak i „Gracja” — fachowo mówiąc — „przeszywają” białskie (nie — bielskie!) tkaniny, korzystając nie raz z krótkich serii zakładowej wzorcowni; tworzą własne kolekcje, reklamują je, by następnie przystąpić do produkcji. Są to może poczynania chwilowo nie na gigantyczną skalę, ale jest to chyba skuteczna droga, by piękne kraty, jodły i tenisy, fil à file i prince de gale, które mi pokazano we wzorcowni „Bławeny”, trafiły bezpośrednio na rynek, a przede wszystkim do producentów odzieży. Niechby to nawet były tkaniny średniodrogie, ale po co zaraz „betonowe” kingi o wzorach „mielonego maku”, w których podobno nadal jeszcze gustują Polacy, gotowi płacić po 700—800 złotych za metr. Więc byłaby to droga do przełamania naszego gustu konwencjonalnego.

Produkcja tkanin z natury rzeczy jest bardziej elastyczna niż na przykład butów. Droga od pomysłu do klienta znacznie krótsza. Odnoszę wrażenie, iż „Bławena”, jako zakład „na dorobku”, zmuszony do „przebijania się” na giełdach i targach, szukający dodatkowych kontraktów i kontrahentów, dobrze wykorzystuje tę elastyczność. Sam tylko lubelski „Otex” w roku 1975 odebrał z „Bławeny” poza planem ponad 60 tysięcy metrów bieżących tkanin (w obrębie planu — ponad 58 tysięcy).

„Bławena” posiada nowoczesny park maszynowy (sporo urządzeń sprowadzonych ze strefy dewizowej), przestarzałe maszyny modernizuje się i wymienia. Obniżając zatrudnienie (głównie kosztem pracowników administracyjnych i półprodukcyjnych), zakład nie zmniejsza produkcji, i to jest bardzo ekonomiczny sposób podejścia do sprawy. Działając głównie na rzecz producentów odzieży, powoli staje się, lub może się stać, partnerem takich marekowych zakładów jak: ZPO w Bytomiu, krakowska „Vistula” bydgoski „Modus” czy wrocławska „Intermoda”... A istnieje w Polsce przecież generalna i słuszną tendencją, żebyśmy się strolili w ubiory gotowe, bo to i taniej dla nas, klientów, a bardziej opłacalnie dla państwa. W tym układzie „Bławena” może stać się silnym partnerem przemysłu odzieżowego. Trzeba jej tylko życzyć, by — kiedy okrzepnie — nadal wykazywała taką młodzieńczą prężność i umiejętność ryzyka jak obecnie. Jeżeli białskie materiały nie mogą pobić bielskich tkanin w zakresie bezwzględnej jakości, to bardzo szybko mogą je zakasować w dziedzinie efektywnego zaprojektowania i wykończenia produktu.



Ogólny widok zakładu



Tkálnia

Fot. B. Woźniak

trzeba początkowo płacić, a w przypadku województwa białskopodlaskiego należy też pamiętać o perspektywach hodowlanych (w tym i hodowli owiec), czyli zaplecza surowcowym dla „Bławeny”. Następną ewidentną kwestią — że wraz z zakładem rozwija się miasto. „Bławena” współuczestniczyła w budowie oczyszczalni ścieków, teraz naprzeciw fabryki powstaje obiekt socjalny, gdzie obok stołówki znajduje się dom kultury, a także kryta pływalnia, pierwsza w Białej. Na szybką urbanizację i rozwój nowych miast wojewódzkich nie widać w tej chwili lepszego pomysłu niż rozsądna rozbudowa istniejących tam zakładów przemysłowych.

W dyrekcji „Bławeny” pytam, czy obserwują wykształcanie się nawyków robotniczych pośród załogi — ambicji zawodowych, przywiązania

ności o nieco szerszym charakterze, których przytoczenie może być pouczające, szczególnie dziś, gdy mówimy o konieczności coraz wyższej jakościowo pracy. Chodzi o „klasyczną” kwestię części zamiennych; doprawdy marzy mi się sytuacja, bym w najbliższym czasie odwiedził zakład, w którym nie byłoby rozmów na ten temat. Głównym „bohaterem” jest w tym przypadku Bielska Fabryka Maszyn Włókienniczych „Befama” w Bielsku — Białej, dostawca części do maszyn przedziałniczych.

Zamówienia na części wysyłają z „Bławeny” z dwuletnim wyprzedzeniem, a i to częstokroć „Befama” nie potwierdza realizacji owych zamówień. W „Bławenie” wzdychają, żeby przemysł maszynowy produkował części „na magazyn”, nie zaś na „szczegółowe zamówienie”, inaczej stwarza się pokusy chomiko-

wie. Wtedy bowiem Krzną poczęły płynąć tłuszcze, do których wytrącania stacja w „Bławenie” jest nieprzystosowana. Próbuje się płukać filtry żwirowe zamiast co 48 godzin — co 2—3 godziny, ale i tak cały czas „Bławenie” grozi zanieczyszczeniem kotłów wysokoprężnych, a ponieważ zakłady meblarskie w Białej korzystają z kotłowni „Bławeny”, więc sytuacja wydaje się poważna w dwójnasób. Ostatnio — w związku z wnioskiem racjonalizatorskim pracowników działu parowodnego w „Bławenie” — zakupiono kilkanaście ton wody utlenionej i nią czyści się filtry żwirowe z tłuszczy. Skuteczna ta metoda nie zwalnia łukowskiej fabryki od rozbudowy własnej oczyszczalni ścieków, inaczej zakład białski stanie przed dodatkową koniecznością budowy kosztownych studni głębinowych.

„Bławena” produkuje w zasadzie tkaniny ubraniowe, a o poprawie jakości świadczy fakt, że wzrasta produkcja I gatunku, zaś w IV gatunku tkanin „zeszli” z 15 procent na 6—7 procent. W wyposażonym w nowoczesne urządzenia laboratorium zakładowym dowiaduję się, iż 5-centymetrowej szerokości pasek „setki” z elaną może mieć wytrzymałość na zerwanie do 140 kilogramów, przy czym wydłużenie waha się tu w granicach 3—4 centymetrów. Na „setkach” z elaną osiąga się też ostatnio bardzo dobre pilingi. Ostateczny walor użytkowy i estetyczny tkanin warunkuje jednak także jakość przędzy, dostarczanej „Bławenie” przez toruński „Merinotex” i łódzki „Arelan”, a z tym bywa ponoć rozmaicie.

Choć produkcja zakładu w metrach bieżących wzrasta, „Bławena” miała na rok 1975 plan wartościowo niższy aniżeli wykonanie planu w roku 1974. Oznacza to, że produkowano więcej asortymentu tańszego. I muszę powiedzieć, iż taka sytuacja wydaje mi się obiecująca.

GABINET redaktora naczelnego mógłby od błedy służyć jako sala treningowa ciężarowców czy zapaśników — tak jest rozległy. Zresztą sam Władysław Machejek przypomina nieco zapaśnika, jako że barczysty jest, lekko pochylony, o włosach krótkich, uniemożliwiających powalenie ich właściciela jakimś chwytym podstępny. Naczelny „Zycia Literackiego” twarz ma przy tym czerstwą, ogorzałą, wcale nie zmęczoną, można powiedzieć, że jest to twarz włóścianina, który potęgą jest i basta.

Nie ma rady, jak się wdepnęło w Kraków, z miejsca szuka się symboli; znaków wymownych, odniesień literackich i malarskich, niezależne widzenie mgły mitów zaciemniając. Z drugiej strony niepokoi przecież pytanie: a może ten Kraków taki po prostu jest? Tak zrośnięty z tradycją, tak przejęty sobą, że w sobie tylko właściwy sposób bytujący, pełen szacunku dla własnych ceremoniałów, stereotypów, akselbantów i rapierów... W gabinecie Machejka od kilku przynajmniej lat stoi słomiany, umajony wstążkami wieńiec (?) dożynkowy, na ścianie zaś wisi okazały obraz, przedstawiający grupę kwadratowo wymodelowanych robotników w kufajkach — przeciwko tło sceneria symboliczna, plastyczne unaczynienie idei sojuszu robotniczo-chłopskiego! Nieważne przy tym, od jak dawna motyw ten zamieszkał na stałe w krakowskiej tradycji społecznej, najbardziej tu wymowna jest owa skłonność do kreowania sytuacji symbolicznych, do obrazowego demonstrowania przekonań.

Po takim treningu łatwo już dostrzec w stertach maszynopisów, jakby bezładnie zalegających wielkie biurko Machejka, wizerunek zewnętrzny „Zycia Literackiego”, które oszczędza na tytułach (najlepsze najmniejsze), łamane jest konwencjonalnie, za fotografią nie przepada, fajerków graficznych na pierwszej stronie (jak „Kultura” czy „Literatura”) nie uprawia. Jak się rzekło, tak na oko pismo przypomina fakturę Machejkowego biurka, złożoną z szarych okładek skoroszytów, tu i ówdzie pakniętych czymś ciemnym, powiązanych tasemkami, rozrzuconych nader swobodnie. Ale — jak twierdzi Wojciech Pykosz, sekretarz redakcji, fachman i dusza człowiek — jest to balagan pozorny, maskujący, bo przecież naczelny doskonale orientuje się, co i gdzie leży w tekturowych teczkach, jaki materiał dziś, a jaki za tydzień należy pchnąć do drukarni, skierować do czytelników.

Skromny, ascetyczno-rewolucyjny przydzwiek tygodnika nie zraża przecież ludzi, z limitowanego nakładu 90 tysięcy egzemplarzy rocznie — wychodzi niemal wszędzie — 20

tysięcy w prenumeracie — czteroprocentowe zwroty to doprawdy bagatela. W naszych warunkach jest to zatem, było nie było, pismo masowe. Ta poczytność zdumiewa nieco, jako że na łamach „Zycia” nie uświadczysz „powieści fryzjerskich”, horoskopów, odcinków „Agaty” czy innych kawałków kryminalno-sensacyjnych, którym to towarem podpierają się nawet czołowe czasopisma społeczno-kulturalne i literackie, tłumacząc się tzw. zapotrzebowaniem publicznym, albo w ogóle nie tłumacząc się. Na domiar wszystkiego, krakowski tygodnik upodobał sobie w swojskości, w pejzażu polskim, dość rzadko wypuszczając się w obce kraje. Tadeusz Robak tuła się po Łomży (wzywając po drodze miasto Mońki, które zaraz żąda satysfakcji), bada sprawy Przemysła — jakby to nie były takie sobie miasta, uwikłane w setki pro-

zaicznych problemów, ale jakież ważne dla historii powszechnej Wyspy Kanaryjskie czy Santa Barbary. Podobnie Jerzy Lovell: barbarze się w duszy polskiego zaścianka, w jego kompleksach, obyczajach, publikuje „Koncert na elektrycy”, który po prawdzie jest partyturą koncertu na ludzkie uczucia i wartości — zamiast wstąpić do piekiel amerykańskich narkomanów. Z kolei Jerzy Madeyski toczy ciężkie walki w obronie zabytków Krakowa i innych miast polskich (choć Wenecja tonie), a na terenie krytyki plastycznej występuje w fatalnej roli ostatniego bodaj Mohikanina racjonalizmu, demaskując bez żenady bluff artystyczny i beznadziejne teoretyzowanie pozbawionych elementarnej kultury filozoficznej przerwanych „animatorów”, których ostatnio na pęczki.

Poruszając problemy publiczne, „Zycie Literackie” nie kryguje się „pod publiczność”, co niezmiernie chwalebne, lecz wcale nie sprzyjające wzrostowi czytelnictwa. Na dodatek pismo zamieszcza sporo tekstów literackich i literaturze poświęconych, aczkolwiek styszy się głosy, że wobec obletnicy zawartej w nazwie tygodnika jest ich za mało. Względnie to jednak pretensje, albowiem po-

równanie „Zycia” z tytułami o podobnym profilu — z „Kulturą” czy „Literaturą” — awansuje krakowski tygodnik do roli szczerzego sympatyka prozy i poezji, nie mówiąc już o tzw. literaturze faktu, sumiennie prezentowanej i omawianej na nieefektywnych łamach. Zapisując to na koncie wartości „Zycia”, nie zapominajmy jednak o dość dwuznacznym dziś funkcjonowaniu literatury, która z narzędzia kształtowania zbiorowej wyobraźni i skali wartości moralnych oraz obywatelskich przelastoczyła się w katalizator doznań indywidualnych i niejako odświętnych.

Przez kolumny „Zycia Literackiego” przewinęły się setki nazwisk najwybitniejszych dziennikarzy, przedstawicieli humanistyki polskiej i nauk przyrodniczych, którzy jako autorzy różnorodnych publikacji ugruntowali opinię o wysokim poziomie pisma. Ci sami ludzie drukowali przecież w innych czasopiśmie.

W czym zatem mieści się charakter „Zycia Literackiego”, jakie momenty zapewniają mu czytelniczą atrakcyjność? Otóż wydaje mi się, że osobowość tygodnika z ulicy Wiślniej 3 i jego społeczny sukces wy-

go czasu) Krakowie, gdzie co krok, to dzieło sztuki, co dwa kroki — znak młodopolskiej tradycji, co kawiarnia — wianuszek poetów?

Stanisław Witold Balicki uruchomił w marcu 1947 roku w Krakowie „Dziennik Literacki”, będący 8-stronicowym, autonomicznym dodatkiem niedzielnym „Dziennika Polskiego”; decydowało to o niemal 90-tysięcznym nakładzie tego pierwszego tytułu. Pojawienie się pisma pozostało w związku z przeniesieniem redakcji „Odrodzenia” do Warszawy, co zresztą budziło mieszane uczucia.

„Dziennik Literacki” wypełnił, zdaje się, powstałą lukę, skoro na jego łamach zaczęli drukować tacy autorzy, jak Przyboś, Słonimski, Staff, Broniewski, Pięta, K. Winkler, T. Dobrowolski, a z młodszych i mniej wtedy znanych — Machejek i Lovell. W krakowskim piśmie publikował też swoje wiersze Kazimierz Andrzej Jaworski — obok artykułu profesor Janiny Garbaczowskiej „Dbałość o czystość języka polskiego — to uszlachetnienie duszy narodowej”.

„ŻYCIE LITERACKIE”

nikają z konsekwentnego występowania „Zycia” w roli lekarza domowego. Takie określenie traci nieco tzw. chwytym publicystycznym, ale po bliższym wniknięciu w sprawę staje się uprawione. Młodszym pokoleniom wypada przypomnieć, że lekarz domowy to był taki pan, który odwiedzał ludzi nie tylko podczas ich choroby, a leczył nie tylko pigułkami, lecz słowem, i trudno powiedzieć, który z tych środków był skuteczniejszy. Lekarz domowy był niejako członkiem rodziny, człowiekiem przyjaznym, znającym jej problemy i godnym najwyższego zaufania. Przez ćwierć wieku swego istnienia „Zycie Literackie” nigdy nie traciło kontaktu z ważnymi problemami rzeczywistości politycznej, społecznej i artystycznej, naświetlając je z pozycji sprzyjających zdrowiu publicznemu. Ta stała troska o polski stan posiadania wytworzyła wokół pisma klimat społecznego zaufania. Można zatem powiedzieć, że o jego sukcesie zadecydował moment moralny, uczciwe przedstawianie istotnych spraw polskiej codzienności. Skąd jednak ta orientacja na codzienność w wypadku pisma o „literackim” tytule, wychodzącego w artystowskim (swe-

Po pewnym czasie Balicki wyjechał do stolicy, a na jego miejscu zasiadł człowiek bez większych sympatii do kultury literackiej, który rychło doprowadził do likwidacji pisma. Wykonanie tej kłopotliwej roboty powierzono jednak komuś innemu, bo Machejkowi, który w 1950 roku zakończył był swoją misję w charakterze zastępcy redaktora naczelnego „Gazety Krakowskiej”, albowiem zbyt demonstracyjnie obnosił się z jakimiś trudnymi pomysłami... Autor poetyckich „Leśnych oczu” wykonał zadanie jak należy, ale likwidując tytuł, zabiegał równocześnie o uruchomienie nowego pisma literackiego, wspierany w tych działaniach przez całkiem dorodny garnitur absolwentów UJ i pisarzy krakowskich. W 1947 roku Kraków stracił „Odrodzenie”, niedawno (1950) Warszawa zabrała „Twórczość”, redagowaną przez obywatela z Krzeszowic, Kazimierza Wykę, teraz odpada „Dziennik Literacki”... Co nam pozostało? — pytało środowisko, a Machejek przerosił te pytania dalej i wyżej. Ostatecznie dopiął swego, mimo pewnych oporów ze strony ówczesnego sekretariatu generalnego Związku Literatów Polskich.

Słony śnieg

— Tegoroczna, obłędnie „huśtająca” śniega może przyprowadzić o rozpacz każdego, a nie tylko dozorców, właścicieli prywatnych posesji oraz posiadaczy garażów „pod chmurką”, zgoda? — zwracam się do dyrektora Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Lublinie, Leszka Bielskiego.

— Zgoda. I powiem panu, że ta zima przyprawi o rozpacz przede wszystkim mnie, który mam sprzątać i odśnieżać miasto.

— Nie potrzeba jednakowoż być ekspertem w zakresie bezwzględnej teorii zaśmiecania i odśnieżania, by przewidzieć iż na ogół każdego roku podczas zimy śnieg spadnie, zaś mróz przemieni go w gołoledź. Tymczasem rokrocznie ulice naszego, i nie tylko naszego, miasta przedstawiają obraz zmięzchu cywilizacji w obliczu zagrożenia atomowego, zupełnie jakby nikt nie spodziewał się

zimowej aury. Jezdnie w najlepszym przypadku zalega mazista ślona kasza, stanowiąca „śmiertelne” zagrożenie dla karoserii oraz, rozrzucona przez pojazdy na boki, także zagrożenie dla miejskich trawników. O „wykwitach” soli na obuwio pozwolę sobie już zamilczeć. Natomiast chodniki pokrywa stwardniała, śliska skorupa, bądź rozchlapaną breja. Jeżdżenie i chodzenie jest utrudnione, ludzie spóźniają się do pracy, lamią kończyny dolne i górne, szczególnie osoby starsze, o czym miałem okazję przekonać się zasięgając informacji w pogotowiu ratunkowym. Czy w dobie lotów na Księżyc nie widać na te zjawiska rady?

— Przede wszystkim opady śniegu połączone z dużym, „suchym” mrozem nigdy nie dadzą gołoledzi, do tego potrzebna jest jeszcze odpowiednia wilgotność powietrza. Ale mówi pan o wielu sprawach, a trzeba by po kolei.

— Więc dobrze. Mając zasadniczy cel wystawiony na obstrzał, zaczniemy tę rozmowę od początku grzecznym pu-

taniem o zakres działalności usługowej pańskiego przedsiębiorstwa.

— Przede wszystkim wywóz i unieszkodliwienie nieczystości stałych oraz płynnych, wyposażenie wszystkich posesji w pojemniki. Od września mamy nowe wysypisko śmieci w Jawidzu pod Lublinem, wyrobisko po dawnej kopalni piasku. Pierwszy etap budowy właśnie kończymy. Wysypisko jest już w całości wyścielone folią i śmiecie się przywozi. Wznosimy teraz budynki zaplecza. Koszt całości gdzieś w granicach 32 milionów złotych. Na wiosnę druczany parkan obsadzi się dziką winoroślą. Obok leży druga niecka po kopalni piasku i tę również zamierzamy zagospodarować. W sumie ma to wystarczyć na 10 lat, a obejmie teren 12 hektarów. Piękna inwestycja.

— Jest to bardzo sielski obrazek takie wysypisko śmieci porośnięte dziką winoroślą. Ale trudno nie poczynić uwagi, że Jawidz leży 20 kilometrów od Lublina i transport śmieci na tę odległość podraża koszty przedsiębiorstwa.

— Nie było innej rady, jeśli chcieliśmy zachować przepisy o strefie ochronnej, czyli odległość, w jakiej od wysypiska mogą się znajdować budynki mieszkalne.

— Co się dzieje z tymi śmieciami na wysypisku, bo słyszę, iż Lublin nie posiada spalarni, a ponadto jakiego rodzaju śmiecia obowiązują jesteście wywozić?

— Mówimy „śmiecie”, ale lepiej używać terminu „nieczystości stałe”, czyli odpady pochodzenia komunalnego z gospodarstw domowych. Usługi w tym zakresie nie mamy prawa nikomu odmówić. Istnieją tutaj jeszcze odpady przemysłowe, jak żużel, gruz i tak dalej. Tych nie musimy wozić, zresztą nie posiadamy specjalistycznego taboru, ale czasem i takie usługi świadczymy. Zdarzyło się, iż wieźliśmy bezużyteczny papier z drukarni, choć on się powinien znaleźć w składnicy makulatury. Zasadniczo przedsiębiorstwa własnym transportem powinny dostarczać swe odpady na nasze wysypisko, lecz bywa z tym kłopot, szczególnie w wypadku zakładów, które swój transport przekazały specjalistycznym przedsiębiorstwom resortowym. Pytał pan, co robimy z odpadami na wysypisku. O-tóż do niedawna gnietliśmy je zwykłymi spycharkami. W grudniu ubiegłego roku otrzymaliśmy spycharko-ugnia-

Pierwszy numer „Zycia Literackiego” ukazał się 4 lutego 1951 roku, a opracowano go w mrocznej hali redakcyjnej przy ul. Rynek Główny 11 (I piętro, oficyna). Redaktorem naczelnym pisma został Henryk Markiewicz, jego zastępcą — Władysław Machejek, w skład etatowego zespołu wchodził ponadto: Zygmunt Greń, Jerzy Lovell i Henryk Vogler. Po kilku miesiącach w kierownictwie nastąpiło przetasowanie — funkcję naczelnego objął Machejek. Tym sposobem powstał w dwutygodniku specyficzny układ sił, krzyżujący dziennikarzy, literatów i krytyków literackich, przy czym linie podziałów profesjonalnych nie były precyzyjnie zakreślone, albo w ogóle nie zostały, albo w ogóle nie zostały — funkcję naczelnego objął Machejek i tę samą osobowość. Machejek był dziennikarzem, który wydał już dwie książki: poetycką oraz prozatorską („Chłopcy z lasu”), Zygmunt Greń uprawiał krytykę literacką i teatralną, ale w jakiś sposób otarł się o dziennikarstwo pracując wcześniej w „Dzienniku Literackim”, Jerzy Lovell zajmował się nie tylko reportażem, lecz po ukończeniu Szko-

łącej: o ile oryginalna twórczość dość naiwnie realizowała kryteria realizmu socjalistycznego, o tyle krytyka literacka (i teatralna) demonstrowała stosunkowo wysoki poziom, dość ostro wytykając autorom skłonności do uproszczeń i kreowania wydumanych porządków. Recenzując pewien tomik poetycki Włodzimierz Maciąg zauważył iż wiersze te „mówią, że budowa osiedla na Muranowie to nie tylko tablice współzawodnictwa, wieniec na szczycie i końcowe przemówienia, że to wielka i ciężka praca, którą robotnik z radością wykonuje, rozumiejąc ogromne potrzeby stolicy”. Tymczasem poeci „Nowej Kultury” zamiast konkretnego człowieka dostrzegają tylko idee ogólne: postępu, pokoju etc... Sztukę Macieja Słomczyńskiego „Nasze dziewczęta”, reżyserowaną przez Lidę Zamkow, Henryk Vogler zaliczył do twórczości „użytkowej”, dającej nowemu widzowi lekką strawę przyrządzoną z nowej, bliskiej temu widzowi tematyki”. A dalej: „Młody autor nie jest jeszcze na pewno ani Moliere’em, ani Ibsenem, ani nawet Rittnerem socjalistycznej epoki (choć z utworami

w Paryżu, gdzie zresztą sporo czyni dla dobrego imienia naszej kultury.

Wiersz i felieton satyryczny to zresztą stałe rubryki ówczesnego „Zycia”. Karol Szpański, Witold Zechenter, Bogdan Brzeziński — ta trójka podejmowała różne tematy, gromiąc imperializm, ale i rodzimego kółka. Typowym przykładem tej twórczości jest rymowanka Brzezińskiego pt. „Upiorna wypożyczalnia”. Przychodzi oto czytelnik do biblioteki i pyta o szmirwate książki, w odpowiedzi słysząc „nie ma, nie ma, jest natomiast Prus, Zeromski, Szolochow, Ażajew, prosimy bardzo.”

„Oczywiście — ta rozmówka
Nie zawiera prawdy słówka...
Są w czytelnikach „dzieła” Vicky,
Leżą tomy jej, jak byki!
Jest Courths Mahler głupkowata
I Mniszkówny „Trędowata”!
Czy kretyńskie te romanse
Długo tani kwić mają szansę?”

Czy autor mógł przewidzieć, że Wydawnictwo Literackie wyda po latach „Trędowatą”?

domym budowniczym socjalizmu. Ze su ojej wsi — powiadacie — otóż ta weseł już nie będzie ta sama — będzie częścią naszego nowego, uprzedmiotowionego państwa. A dzięki czemu? Dzięki tej naszej linii, którą dzisiaj budujemy”.

W podobnej tonacji utrzymana była produkcja innych reporterów „Zycia”. Pompatyczność i literackość tekstów jakby sprzyjały mitologizacji tematów, aczkolwiek nie ulega wątpliwości, że źródła owego zjawiska były bardziej złożone i głębsze. Reportaż ówczesny eksponował wzorce osobowe, ukazywał dynamikę przeobrażeń społecznych, konkretyzował cele socjalizmu, ukazywał ludziom sens ideowy i społeczny ich wielkiego wysiłku. Można więc zapytać, co go poza techniką i honorowaniem realiów natury topograficznej łączyło z klasyką gatunku. A jednak dużo. Trzeba tylko dokładnie przeczytać teksty, odrzucając stylistyczne fatalizmy, trzeba raz jeszcze sięgnąć do publikacji Lovella „O pełny rozmach pracy kulturalnej w Nowej Hucie”, w którym znajduje się takie stwierdzenie, dotyczące świetlic tej wielkiej budowy: „nuda, pustki, brud”.

Wchodzono w polską codzienność także innymi drogami. Oto w 20 numerze pisma z 1951 roku redakcja ogłosiła konkurs na korespondencję o masowej pracy kulturalnej w terenie, proponując, przykładowo, takie tematy: „Działalność Powiatowego Domu Kultury”, „Jak pracuje świetlica we wsi Z.”, „Życie kulturalne górników kopalni N.” Między ówczesnymi zainteresowaniami pisma a obecnym jego profilem istnieje wystarczająco wyraźny związek.

CZYLI ZAUFANIE

Ireneusz J. Kamiński

ty Dziennikarskiej przy KC PZPR pisywał felietony, komentarze, mówił, że nad depešami też siedział... Henryk Markiewicz wyraźnie sterował ku nauce o literaturze (co w 1956 roku ostatecznie wyprowadziło go z redakcji na UJ), tylko Henryk Vogler miał poważniejszy staż w charakterze krytyka literackiego (co być może miało jakiś związek z późniejszym objęciem przez niego funkcji redaktora naczelnego Wydawnictwa Literackiego). W „Zyciu Literackim” od początku zatem istniały warunki kadrowe do rozwoju publicystyki społecznej i reportażu. Nade wszystko jednak sprzyjała tym gatunkom dziennikarskim sytuacja ogólniejsza, pozaprofesjonalna, sytuacja kraju, który przechodził głębokie przeobrażenia ustrojowe. Jeśli przypomniemy, że naczelny dwutygodnika był wyjątkowo czynnym działaczem partyjnym i społecznym — otrzymamy bodaj pełny rejestr tych momentów, które zadecydowały o profilu „Zycia Literackiego”. Ukształtował się on już w pierwszym roku istnienia pisma.

Publikowano wówczas dużo tekstów literackich, pilnie obserwowano życie teatralne, plastyczne (Andrzej Wróblewski, nieco później Janusz Bogucki) i muzyczne. Inter-

tych pisarzy stara się w pewnym sensie zestawiać jego sztukę notatka w programie teatralnym — ale potrafi już z dużą zręcznością... zilustrować w sposób na ogół nie użyty pewien odcinek naszej walki o realizację Planu Sześcioletniego”. Tylko skąd Słomczyński wziął ową sielankowość obrazu?

Byłoby niesprawiedliwe, gdybyśmy przy tej okazji nie przypomnieli, że późniejszy Joe Alex i znakomity tłumacz „Ulissesa” należał w tamtym okresie do najbardziej aktywnych autorów „Zycia”, parając się m. in. twórczością satyryczną. On to właśnie w 21 numerze pisma opublikował zgrabny poemat epicki (?) pt. „O siedmiu tucznikach”, który zaczynał się w ten sposób:

„Agitatorze! Naszą sprawą w walce
Jest wskazać miejsce, w które wróg przenikał
Weź wiersz ten na wieś i wskazując palcem

Czytaj na głos:
O siedmiu tucznikach”.

Ilustrował to dzieło Walerian Borowczyk, twórca filmowych „Dziejów grzechu”, bywający w kraju i

Wiersze satyryczne, przeróżne notki informacyjne, krótkie komentarze, felietony, zwięzłe omówienia książek — ta „drobnica” redakcyjna nie należała wcale do marginesu pisma, lecz służyła sprawie dla redakcji nadrzędnej: przyciągnięciu do „Zycia” środowisk czytelniczych spoza tradycyjnej inteligencji. Inną szerszą drogą do tego celu otwierał reportaż.

Reportaże pisali dziennikarze, literaci i krytycy literaccy: Jerzy Lovell, Władysław Machejek, Maria Klimas-Błahutowa, Bogdan Ostromecki, Władysław Szymborska, Andrzej Wydrzyński, Maria Jarochońska... W połowie 1951 roku zainicjowano specjalny cykl reporterski „Na budowach socjalizmu”, który umożliwił ujawnienie talentów dziennikarskich Andrzejowi Kijowskiemu. W reportażu o budowie linii kolejowej na Kielecczyźnie późniejszy autor powieści „Dziecko przez ptaka przyniesione” wkłada w usta sekretarza partii taką refleksję:

„... ten sam chłop, powiadacie, wyjdzie ze swojej wsi i wsiedzie w pociąg. Otóż nie ten sam chłop, ale nasz nowy towarzysz, który na naszej budowie stał się świadomym członkiem klasy robotniczej i świa-

„Zycie” upodobało sobie zresztą w urzędowaniu przeróżnych konkursów, które miały zachęcać czytelników, przede wszystkim młodzież, do żywego kontaktu z kulturą literacką i z samą redakcją. Pierwszy ogłoszono już w 3 numerze dwutygodnika, nagradzając później zwycięzcę „Dziela” Słowackiego. Następny pod hasłem „Czy znasz powieść polską?” (nr 16) obiecywał laureatom dwóch pierwszych nagród rowery: męski i damski. Najwyższe trofeum w dziedzinie zdobył Adolf Jakubowicz z Iwonicza Zdroju (późniejszy dziennikarz), ósma nagroda przypadła Henrykowi Dudkowi z Lublina (ul. Krakowskie Przedmieście 88). „Dziela” Słowackiego ozdabiała tym razem sukces czytelniczy, który zajął dziesiąte miejsce. Redaktorom „Zycia Literackiego” nigdy nie brakowało poczucia realizmu.

Redaktorem naczelnym „Zycia Literackiego” jest dziś Władysław Machejek, jego zastępcami są: Zygmunt Greń i Jerzy Lovell. Zaden z nich nie pochodzi z Krakowa, a Greń urodził się nawet bliżej Lublina, bo w Siedlcach, gdzie przebywał jednak tylko pięć miesięcy, udając się następnie do Poznania. Nie dziwi to przecież w kontekście pisma, w którym Sławomir Mrozek pisywał niegdyś rocznicowe wstępniaki,

tarke, urządzenie prototypowe polskiej produkcji, jedyne w kraju. To nam bardzo ułatwiło sytuację, choć urządzenie dopiero w stadium próbnym. Jest nadzieja, że polski przemysł maszynowy obudzi się i w tym zakresie, bo wiem podobne urządzenia, sprowadza-

ne z RFN, kosztują blisko 70 tysięcy dolarów. Pras do gnienienia karoserii samochodowych jeszcze nam nie potrzeba, gdyż ten problem w Polsce na razie nie występuje.

— Ale występuje problem niszczenia karoserii przez obficie sypaną sól. A

wiem, że są kraje, gdzie się w ogóle sól do posypywania jezdni nie używa.

— Są kraje, na przykład skandynawskie, gdzie żadne sypanie pomóc nie może, a tylko odplużanie. Lecz mówimy po kolei, bośmy weszli w drugą dziedzinę działalności MPO, oczyszczanie miasta, które się dzieli na ręczne i mechaniczne oraz letnie i zimowe. Istnieje generalna zasada, że MPO ma czyścić jedynie te odcinki, które należą do miasta: jezdnie, chodniki, place. Latem zamiatamy ulice, zbieramy zmiotki, opróżniamy kosze, zmywamy jezdnie wodą...

— O tym, że w Lublinie brak koszy na ulicach, prasa codzienna pisała wielokrotnie.

— Stan zaopatrzenia naszego miasta w kosze jest teoretycznie lepszy niż na przykład Krakowa czy Wrocławia.

— Teoretycznie?

— A tak, bo ludzie, wstyd mówić, kradną kosze na prywatne posesje. Ponadto niszczą. Idzie małe i do kosza wrzuca zapaloną zapalniczkę sztormową, papiery się zajmują, farba z kosza odlatuje... Mielimy takie przypadki. Istnieje generalna zasada, iż czystość miasta zależy nie od tych, którzy sprzątaj, lecz od tych, którzy śmiecą. I jeśli w innych miastach jest czystość, to wina

mieszkańców Lublina, niestety. W Moskwie milicja za rzucenie papieru na ulicę karze mandatem.

— Czyli za dopusty zimowej aury należy mieć pretensje do pana boga i na tym koniec sprawy, MPO jest bezradne?

— Nie przesadzajmy. Zimą odkuwamy chodniki z lodu i posypujemy piaskiem, jezdnie się odpluża i posypuje środkami chemicznymi, śnieg przyzmuje się i wywozi za miasto w odpowiednie miejsce.

— Jest to raczej teoretyczny zakres działalności MPO, gdyż podczas objazdu miasta z panem dyrektorem obaj gołym okiem widzieliśmy, że sytuacja nie wyglądała wesoło, nawet na głównych ulicach, przystankach i pętlach komunikacji miejskiej czy na podjeździe do szpitala przy ulicy Jaczewskiego.

— Wszystko się rozbija o sprzęt i tabor. Posiadamy około 160 jednostek mechaniczno-silnikowych, a potrzeba 210. Brakuje pojazdów do mechanicz-

Dokończenie na str. 9

Kamena str. 7



Styczeńowe opady śniegu i zamiecie mocno dały się we znaki
Fot. J. Mirosław

Ogółem sądy polskie skazały za zbrodnie na Majdanku 110 osób. Wszyscy, z wyjątkiem dwóch kryminalistów niemieckich, byli członkami SS. Z tego sądy w Lublinie skazały 103 osoby, w Krakowie 6, a w Kielcach 1. Za bezpośrednie działania zbrodnicze skazano 26 hitlerowców, pozostałych zaś z omówionych wyżej względów tylko za przynależność do SS. Na karę śmierci skazano czternaście osób, jedną na dożywotnie więzienie, dwadzieścia na więzienie powyżej dziesięciu lat itd. Spośród byłej załogi Majdanka sądy amerykańskie i angielskie skazały jeszcze siedem osób, ale za zbrodnie popełnione w innych obozach, a nie za te, których dokonali na Majdanku.

Jak pamiętamy, przed kilku laty rozpoczęto w RFN wielką akcję pro-

pagandową, która miała doprowadzić do wprowadzenia przepisu o przedawnieniu zbrodni wojennych. Wskutek gwałtownego protestu postępowej opinii całego świata, organizacji byłych więźniów i kombatantów, akcja ta zakończyła się niepowodzeniem. Rachunek zbrodni i kary za Majdanek wykazuje dowodnie, jak wiele jeszcze trzeba zrobić, aby sprawiedliwości stało się zadość. Sprawiedliwości zarówno wobec byłych zbrodniarzy, których uda się jeszcze odnaleźć i zidentyfikować, jak również ich ewentualnych naśladowców, jeżeli tacy znajdują się kiedyś w jakimkolwiek zakątku świata.

wany — co się potem z nim stało, do dzisiaj nie wiadomo. Czwar-ty komendant, Martin Weiss, z Majdanka został przeniesiony do Dachau i za popełnione tam zbrodnie sąd amerykański skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano 29 maja 1946 roku. Ostatni wreszcie, Artur Liebehenschel, został skazany na śmierć w 1947 roku przez Najwyższy Trybunał Narodowy w procesie czterdziestu członków załogi Oświęcimia, gdzie był komendantem przed przeniesieniem na Majdanek. Razem z nim skazano wtedy na śmierć byłego szefa krematorium na Majdanku, Ericha Muhsfeldta (przed wojną praktykował u jednego z adwokatów w Poznaniu, gdzie się urodził). Tak więc z pięciu komendantów Majdanka czterech poniosło zasłużoną karę, chociaż częściowo za zbrodnie popełnione w innych obozach. Czy piąty żyje — a jeżeli tak, czy stanie kiedyś przed sądem?

Prof. dr Czesław Pilichowski, dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich, podaje, że w obozach koncentracyjnych, ośrodkach zagłady, egzekucjach itp. straciło życie 5384 tys. obywateli polskich. Zabijano ich i torturowano w 3890 obozach, podobozach i komandach pracy na terytorium Polski oraz w 8 tys. takich placówek na terenie III Rzeszy i krajów przez nią okupowanych. Tylko 863 tys. więźniów przeżyło te obozy. Ale do strat biologicznych doliczyć trzeba jeszcze 1140 tys. tych, którzy wskutek ciężkich warunków okupacyjnych dodatkowo (ponad przeciętną) zachorowali na gruźlicę oraz 1215 tys. dzieci, które wskutek okupacji po prostu się nie narodziły. A także to, że wśród tych 863 tys. więźniów, którzy przeżyli obozy, śmiertelność była później dwukrotnie większa od normalnej. Straszliwy to rachunek...

Siedzę właśnie w jednym z mieszkań lubelskiej dzielnicy Bronowice. Pani Ewa Kozłowska, która jeszcze jako panna Walecka została uwięziona na Majdanku (nr 920) z pierwszym cywilnym transportem z rejonu Piotrkowa, Radomia i Kielc, wspomina fragmenty swoich tam przeżyć. Co chwilę zerka przez okno w stronę pobliskiego Majdanka — los tak zdarzył, że właśnie tu otrzymała mieszkanie po wyjściu za mąż. Jest jedną z tych osób, której nazwisko zamieszczono na liście świadków w procesie w Düsseldorfie — nie wiadomo zresztą, czy sąd ją wezwie. Aresztowano ją jako łączniczkę ruchu oporu.

Nie publikuję tragicznych przeżyć pani Kozłowskiej, aby nie dawać zachodniomiejscowemu adwokatowi pretekstu, iż ewentualny świadek zabiera publicznie głos przed rozprawą sądową. Słyszę jednak, jak załamuje się jej głos, jak coraz częściej chwyta się za bolącą głowę. To konsekwencja pobytu na Majdanku, potem w Ravensbrück — ciężka nerwica. Ona zapewne powoduje, że bardzo często ma potworne sny związane z katowaniem ludzi, zabijaniem dzieci. No cóż — przez jakiś czas pracowała także w pralni, którą tylko korytarz oddzielał od krematorium... Jako społeczna działaczka ZBoWiD, odznaczona

Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, jest dość często zapraszana na prelekcje do szkół. Młodzież nieraz zatrzymuje ją i dwie godziny. Wychodzi półprzytomna, bo to przecież jakby ponowne przeżywanie tych najpotworniejszych zdarzeń z lat pogardy...

O Ewuni Waleckiej pisze kilkakrotnie w swojej książce pt. „Niebo bez ptaków” inna więźniarka Majdanka, przywieziona tu z warszawskiego Pawiaka — Danuta Brzosko-Mędryk, której nazwisko także figuruje na liście ewentualnych świadków obecnego procesu. Przed kilku miesiącami pani Brzosko-Mędryk zeznawała jako świadek w procesie o ekstradycję Hermine Braunsteiner w Nowym Jorku. Wszyscy zapewne pamiętamy wstrząsający reportaż naszej telewizji z tej rozprawy.

— Podczas tej rozprawy sądowej — mówi pani Brzosko-Mędryk — jeden z

adwokatów zapytał mnie brutalnie: „Czy świadek szuka zemsty”? Pod tym tytułem napisałam czwartą swoją książkę, która nakładem MON powinna ukazać się na wiosnę, pracuję właśnie nad korektą szrotkową. Była na tej rozprawie mowa również o „Kamenie”. Mianowicie adwokat dopatrywał się pewnych różnic między pierwszym a drugim wydaniem „Nieba bez ptaków” i zaczął mi sugerować, że pewnych faktów o sobie nie znam, dowiadując się o nich od innych — co naturalnie zmierzało do podważenia wiarygodności całych moich zeznań jak i dołączonej do akt książki. Musiałam wtedy wyjaśnić, że po otrzymaniu nagrody w konkursie na wspomnienie z Majdanka z jednego egzemplarza tekstu posłałam dwa fragmenty „Kamenie” („Kwitnąca jabłoń” i „Matki i dzieci”, zamieszczone w nr 17 (374) z dnia 15 września 1967 roku — przyp. J. D.), wskutek czego nie zostały zamieszczone w pierwszym wydaniu. Przy okazji musiałam wyjaśnić, co to jest „Kamenie”.

— O ile wiem, razem z reżyserem Wacławem Florkowskim jest pani współautorką scenariusza nakręcanego właśnie filmu o Majdanku?

— To nie będzie film o Majdanku. Niech pan jednak porozmawia z reżyserem.

Nawiązanie kontaktu telefonicznego z Wytwornią Filmów Fabularnych w Łodzi poprzez trzy centrale automatyczne przerosło jednak moje możliwości — przy ponad dwunastu próbach zawsze jedna z central była zajęta. Połączenie „pilne” trwało dwie i pół godziny, pan Florkowski już wyszedł. Rozmawiam więc z drugim reżyserem, Władysławem Weycherem.

— Będzie to film pełnometrażowy fabularny z sekwencjami dokumentalnymi, a tytuł chyba wymowny: „Zagrozenie”. Będzie to właściwie jakby reportaż z procesu nowojorskiego Hermine Braunsteiner, a w retrospekcjach będziemy sięgali do obozu na Majdanku.

— Dla potrzeb filmu zbudowano już na terenie obozu jeden barak, trzy wieże strażnicze i bramę kontrolną...

— Tak, na zdjęcia przyjedziemy z początkiem drugiej połowy lutego, kręcić sceny zimowe. W marcu, jeżeli będzie odpowiednia pogoda, chcemy zrobić zdjęcia akcji, toczącej się jesienią. Zaangażowaliśmy już kilkuset statystów z Lublina.

— Kto wystąpi w rolach głównych i kiedy zobaczymy „Zagrozenie” na ekranach?

— Rolę Braunsteiner zagra Teresa Szmigieliówna, panią Brzosko-Mędryk — Halina Winiarska, prokuratora — Tadeusz Szmidt, obrońcę — Jerzy Przybylski, sędziego — Tadeusz Białoszczyński. Myślę, że w drugiej połowie roku film będzie gotów do wyświetlenia.

Czekając więc na film, warto przypomnieć, że władze hitlerowskie planowały dwukrotne powiększenie obozu, był nawet sporządzony plan, obejmujący teren 516 ha. „Zagrozenie” więc jest tytułem zarówno realistycznym jak symbolicznym. I przestroga.

Jerzy Dostatni

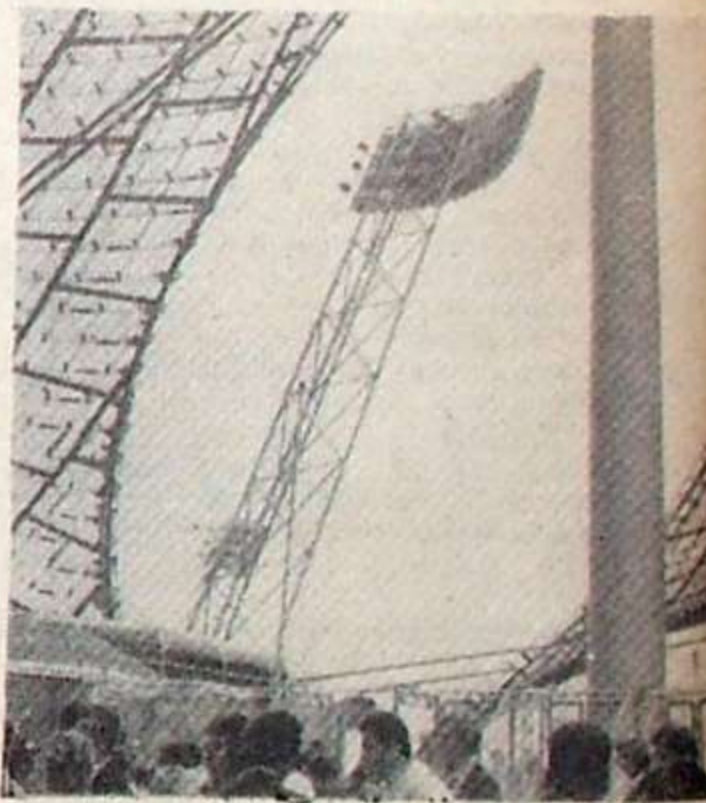
RFN W OBIEKTYWIE ANDRZEJA POLA



Witryna kiosku z gazetami



Frankfurt nad Menem — kino



Monachium — stadion olimpijski



Hamburg — domy towarowe

ZAGROZENIE



Herman Hackmann



Hermine Braunsteiner

Fot. Archiwum Muzeum na Majdanku

Kamena str. 8

TRZECIE I OSTATNIE?

Wojciech Roszewski



Rys. E. Ingot

świadości. Zaaprobował on horyzont świata burżuazyjnego tak dalece, iż nie czuje się w nim źle, a poza tym tak bardzo wierzy w jego spójność, iż nie dostrzega w zachodniemieckim społeczeństwie sił będących w stanie go zniszczyć. Burżuazja, i owszem, osiadła na moralnej mieliźnie, ale ci, którzy próbują się jej przeciwstawić, nie są lepsi. Robotnicy, z wyjątkiem może najbardziej zagrożonego ekonomicznie ich odłamu tzn. gastarbeiterów, czują się dobrze, mieszczaństwo pograżyło się w epikureizm, inteligencja rozwiązuje fikcyjne problemy, zostaje może więc tylko młodzież i jej kontestacja. W ocenie mecenasa tylko ona reprezentuje tendencję skłoną przeciwstawić się status quo. Z politycznego, ekonomicznego i ideologicznego punktu widzenia jest to oczywiście ocena błędna, ale mecenas z Koblenckiej ją aprobuje i rusza do wielkiej rozprawy z własnym synem Ernestem i jego współtowarzyszami. Przy okazji prezentuje iście faryzejski i ambiwalentny typ myślenia, rodzaj moralnego sadomasochizmu. Pragnie

zrozumieć syna, aby poprzez to zrozumienie w pewnym sensie go unicestwić. I udaje mu się to pod koniec. Syn mając dość teoretyzowania angażuje się w poczynania grupy Ulrika Meinhof i Andressa Baadera, aresztowany sypie, czego ojciec w młodości nigdy by nie uczynił.

Był określa świadomość. Świadomość nie pozostaje bez wpływu na byt. Skłócenie ze sobą ojciec i syn pozostają przez długi czas związani złotą pępowiną. Ojciec przekazuje synowi część pieniędzy uzyskanych z honorariów od byłych hitlerowskich zbrodniarzy, syn zżyma się na to, ale do pewnego momentu z nich korzysta. Ojciec natomiast przeciwstawiając się synowi, korzysta dla odmiany z podsuwanych mu przez niego dziewcząt. Zakłócona między nimi więź rodzinna utrzymuje się więc w zdegenerowanej formie. Syn, jeśli można się tak wyrazić, póki to możliwe, czerpie ze strzeżonej m. in. przez ojca bazy, ojciec spróbuje pewne elementy nadbudowy tworzonej przez syna.

Element więzi ekonomicznej między ojcem a synem i obyczajowej — wyrosłej na gruncie pewnej kontrkultury współkształtowanej przez młodzież — przekreśla szanse poważnego konfliktu. Konflikt ten raczej tli się niż eksploduje. Ojcowskie pieniądze przekształcają się w końcu w brudne pieniądze, które trzeba odrzucić, a synowska dziewczyna w zwierzę Alfa, którą łatwo daje się przekształcić w prostytutkę i utrzymankę. W tym stanie rzeczy mowa, jaką wygłasza mecenas z Koblenckiej na procesie wytoczonym sobie przed własnym sumieniem, nie wyprowadza go z owego strumienia stabilizacji i antyrewolucyjności, który przyśnił mu się na początku. Przegrywa zarówno syn, jak i ojciec. Syn zdolny jest ojcu rzucić w twarz słowa: — Coście z nami zrobili? Nie nawidzę was wszystkich. — Ojcu pozostaje te słowa przyjąć w milczeniu.

A. Kuśniewiczowi udało się w „Trzecim królestwie” to, co może dla pisarza jest najtrudniejsze, mianowicie wcielił się w cudzą rolę. Kabotyzm, sprzedajność, mieszczański sentymentalizm, tchórzostwo wobec samego siebie mecenasa z Koblenckiej, zostały tu ukazane po mistrzowsku w formie bardzo przekonującej i precyzyjnej. Przyjęta koncepcja monologu, potoku słów, które na kształt gąbki wchłaniają w siebie wszystkie dylematy i fałszywie rozwiązują je na gruncie określonej świadomości, sprawiła, iż „Trzecie królestwo” w mniejszym stopniu jest dramatem idei, a w większym samooszukiwaniem się sumienia. Interpretowanie tego monologu, jako mowy obrończej ze wszystkimi jej powikłaniami moralnymi, dostarcza nam właściwego klucza do odczytania tej książki, niepotrzebne tu jest, jak już zdążyli to uczynić niektórzy krytycy, powoływanie się na różnego rodzaju sytuacje archetypiczne.

„Trzecie królestwo” poczęte zostało z litery i z ducha czasu. Jest to klasyczna powieść mówiąca o tu i teraz, wyjaśniająca w pewnej mierze ów fenomen spokoju zachodniemieckiego sumienia, które nie bacząc na ciosy, jakie zadała mu wojna, unika trudu męskiego rozliczenia się z własnymi przewinami. Wbrew bowiem pozorom mecenas z Koblenckiej nikogo nie oskarża, a broniąc samego siebie, broni także innych, nawet tych bardziej winnych niż on. Zupełnie jak na procesach swoich podopiecznych. Młodzieżowa kontestacja przy całym jej politycznym zbłąkaniu nie rozbiła ram owego szukającego ciszy moralnej świata. Nie udało się próba zaprowadzenia na ziemi trzeciego królestwa Joachima de Fiore, średnio-wiecznego mistyka. Owe trzecie królestwo okazało się po prostu współczesnym piekłem przyzdobionym nieco sztucznymi buntami dzieci — kwiatów przeciwko swoim korzeniom.

Słony śnieg

Dokończenie ze str. 7

nego oczyszczania, zamiatania i zmywania ulic. Kiedy przychodzi zima, polewarko-zmywarki służą jako plugo-plaskarki.

— A raczej plugo-solniczki.
— Nazwijmy to i tak. W warunkach zimowych starostki silniki są za słabe na lubelskie górki. Ponadto z częściami zamiennymi do posiadanej przez nas taboru kłopot nie lada. „Baza garażowa” to podwórko MPO, jak pan sam widział. Hala naprawcza za ciasna i prymitywna. Bardzo ciężkie warunki pracy, a do tego ludzi brak: warsztatowców zamiast planowanych 100 posiadamy 65, w akcji zimowej brak nam około 60 kierowców, choć mogą zarobić do 7000 złotych miesięcznie, do ręcznego odkuwania chodników z lodu, ładowania śniegu na wywrotki także nie ma chętnych, aczkolwiek dniówki sumują się do 3000 złotych miesięcznie.

— Więc jednak prawie bezradność?
— Gdyby nie tegoroczna, zupełnie wyjątkowa w swej zmienności zima, moglibyśmy lepiej opanować sytuację

w mieście. W tym układzie musimy koncentrować się na główniejszych ulicach i ciągach komunikacyjnych i jakkolwiek nikt w Lublinie nie musi zakładać opon kołcowanych czy łańcuchów. Dbamy też o przystanki, przynajmniej te większe. Głównie więc idzie o centrum.

— A mieszkańcy dzielnic nieco bardziej peryferyjnych?

— Proszę pamiętać, że obowiązkiem dozorców i właścicieli prywatnych posesji jest oczyszczenie chodnika i polowy jezdni przed domem. I sytuacja na tym odcinku jest często skandaliczna, nie zawsze też lepiej bywa z oczyszczaniem wewnętrznych ulic osiedli mieszkaniowych, co należy do obowiązków administracji. Ktoś inny zawinił, a pretensje kieruje się do MPO. Ciągłe tylko słyszymy: MPO sypie, sypie i sypie, a samochody korodują, zieleń i buty się niszczy! Ale jak tu nie sypać, jeśli komunikacja ma w ogóle funkcjonować.

— Chodzi tylko o to, czy przypadkiem nie lepiej byłoby sypać piasek zamiast soli?

— Przede wszystkim sypie się głównie sól z dodatkiem chlorku wapnia,

nie zaś sól czystą. Piasek o wiele gorzej wiąże się z podłożem niż sól, bywa przez pojazdy zdmuchiwany na boki. Dlatego musielibyśmy go sypać znacznie więcej niż soli, żeby osiągnąć przynajmniej zbliżony efekt.

— Ale też piasku jest w Polsce znacznie więcej niż soli i chyba piasek znacznie tańszy?

— Nie o to idzie. Piasek w ziemi otrzymujemy zbrulony, a suszarni nie posiadamy. Więc żeby go doprowadzić do stanu sypkiego, należy dodać 3 procent soli z chlorkiem wapnia. I tak więc sól znalazłaby się na jezdni przy sypaniu piaskiem. Biorąc zaś pod uwagę, że takiej piaskowo-solnej mieszanki trzeba wysypać o wiele więcej niż mieszanki soli z chlorkiem, procent soli czystej na jezdni przy obu rodzajach sypania byłby taki sam, zaś metoda sypania piaskiem znacznie droższa. Mogę panu to zaraz wyliczyć.

— Dziękuję, nie znam się na tym. Znam się tylko na korozji mojego samochodu.

— Ja też mam samochód i może należałoby pretensje kierować do producentów, że lepiej nie zabezpieczają karoserii.

— A zieleń, a buty?
— Zieleń bardziej niż od soli ginie od nieszczelnych przewodów gazowych oraz stale rosnącego stężenia spalin w powietrzu. Buty bardziej niż od soli niszczą się od potu.

— Pozostałoby filozoficzne pytanie, co robić?

— Nam chodzi głównie o sprzęt i tabor, bez tego ani rusz. Słychać ponadto, że w Polsce rozpoczęto produkcję soli drogowej z tak zwanymi inhibitorami, czyli środkami niwelującymi korozyjny wpływ czystej soli. To już byłoby coś.

— Dziękuję za rozmowę, dobrze przynajmniej dowiedzieć się dlaczego jeszcze nie jest najlepiej.

Rozmawiał M. P.

PS. Już po napisaniu relacji z tej rozmowy, w „Trybunie Ludu” (nr 17) ukazał się artykuł Jerzego Bogusławskiego o nowych środkach chemicznych do zwalczania gołoledzi, opracowanych w Centrum Techniki Komunalnej w Warszawie. Ma to być mieszanka mocznika z inhibitorami (związkami fosforanowymi), której próbną partię wyprodukowano w Puławach. Wśród miast, które zgłosiły chęć jej wypróbowania, zabrakło — niestety — Lublina. Skuteczna na gołoledź mieszanka ma mieć korozyjność zmniejszoną o 40 proc.

W ROZGARDIASZU POJĘĆ

— Maria Bechczyc-Rudnicka —

NIEDAWNO, w jednej z niekończących się rozmów o widowni teatralnej, pewien kolega literat zrobił odkrycie:

— Trzeba tylko dobrej sztuki i dobrych aktorów.

— Bagatela!

Roześmieliśmy się oboje.

Podtekstem tego truzimu było oczywiście przekonanie, że reżyser powinien dążyć do wiernego odtwarzania sztuk dobrze napisanych. Ale tę drugą z kolei niezaprzeczalną prawdę dopiero ostatnio zaczęli akceptować współcześni inscenizatorzy. Na razie nieliczni. Toteż z niemalą przyjemnością przeczytałam w ładnie opracowanym programie Teatru im. J. Osterwy następujące słowa renomowanego już reżysera warszawskiego, Witolda Skarucha, komentującego swój lubelski spektakl „Grupy Laokoona”:

Wydaje mi się, że Różewicz to wspólny realista. Rzeczywistość, którą przedstawia, jest pokręcona, rozbita („surrealistyczna”), ale kawałki, z których się składa, to prawda społeczna i obyczajowa, dostrzeżona okiem wysokiej klasy satyryka i poety równocześnie. Za lat 20 czy 30 ze stron „Kartoteki”, „Naszej małej stabilizacji”, a także (właśnie!) „Grupy Laokoona” czy „Spaghetti i miecz” lub „Smiesznego staruszka” poznawać będziemy rzeczywistość polską lat 1956—68. Dlatego przedstawienie nasze unika udziwnień i przerośnię formy.

Brawo! I skoro jesteśmy przy „Grupie Laokoona”, sprolonżowałabym okres poznawanej z twórczości Różewicza rzeczywistości naszej — na rok bieżący, nawet na termin dalszy, nieokreślony. Bo faktem jest, że ta sztuka, opublikowana w r. 1961, nabrała dziś podwójnej aktualności.

Niewątpliwie na pierwszym planie pozostaje, zgodnie z intencją autora, sprawa niewłaściwego odbioru sztuki, często niedołęznego, niechlujnego, niekiedy wręcz znieczulicy, maskowanej ze snobizmu fałszywym patosem, definicjami zaczerpniętymi z autorytatywnych rozpraw. Ponadczasowe to zjawisko. Na pewno krzywdziłby Tadeusza Różewicza ten, kto by mu przypisywał niechęć do sztuki klasycznej, jako „anachronizmu”. Dzieło „klasyczne” jest nieśmiertelne; jeżeli „dzieło” umarło, okazuje się, że zaliczyli je do klasyki omylni interpretatorzy (czyż nie nadużywa się częstokroć terminu „klasyka” galwanizując w celach merkantylnych wszelkie ramotki teatralne?). W istocie więc, jak dawno stwierdzono w dociekliwszych analizach „Grupy Laokoona”, jeśli chodzi o sztukę klasyczną — Różewicz sztywnie po prostu z jej pseudoentuzjastów, podpierających chwałbę orzeczeniami niegdyś szacownymi, obecnie przestarzałymi w sposobie sformułowania.

Tak się dzieje w pierwszych dwóch odsłonach, gdzie Ojciec, następnie Dziadek, Matka i Przyjaciółka (o Synu po-

mówimy potem), z chwilą ukazania się na scenie zaczynają grzeszyć snobizmem i zakłamaniem. Ojciec, ten Pan I, „pan na delegacji” — posłany za granicę, by podpatrzyć to i owo, może właśnie dla obradującego w odsłonie III jury konkursu na pomnik Słowackiego — jeszcze w powrotnej drodze z Włoch dopompuje w siebie Piękno lekturą starego Klaczki. Sam wyzna rodzinie, że zabrakło mu czasu na dokładniejsze oglądanie zabytków i wypełniających muzea dzieł sztuki. Tedy „wielki skarb”, który wiezie „zamknięty w swym wnętrzu”, to jedynie odlew gipsowy, „calco in gesso”,

kryteriów dokonanej przede wszystkim przez twórców nowej sztuki, i o zagubieniu się współczesnej krytyki wśród koncepcji powstających i przemijających z zawrotną szybkością. Sytuacja ta, po stokroć rozwałkowany z różnych pozycji jako główny temat „Grupy Laokoona”, jest nadal aktualna. Ale wspominałam wyżej, że daje się obecnie dostrzec w omawianej komedii aktualność podwójną. A więc widzę to w związku ze sprawą Syna. Syn kryteriów nie utracił, gdyż, rzecz prosta, nie zdążył ich nabyć. Starsi dopiero usiłują „przelewać

nie na archeologię, „onolatrię”, „onomatykę”, „ontologię” (w dalszym wyliczeniu sugestii Różewicz nie skąpił obscenicznego dowcipu — wolno mu, bo jak sztychlić to sztychlić).

Te dyskursy o wyborze zawodu odtwarza spektakl pierwszorzędnie, w czym wydatną zasługę ma m. in. grający, pod trzema gwiazdkami, rolę Syna autentyczny szesnastolatek (podobno, licealista), niewątpliwie aktor in spe.

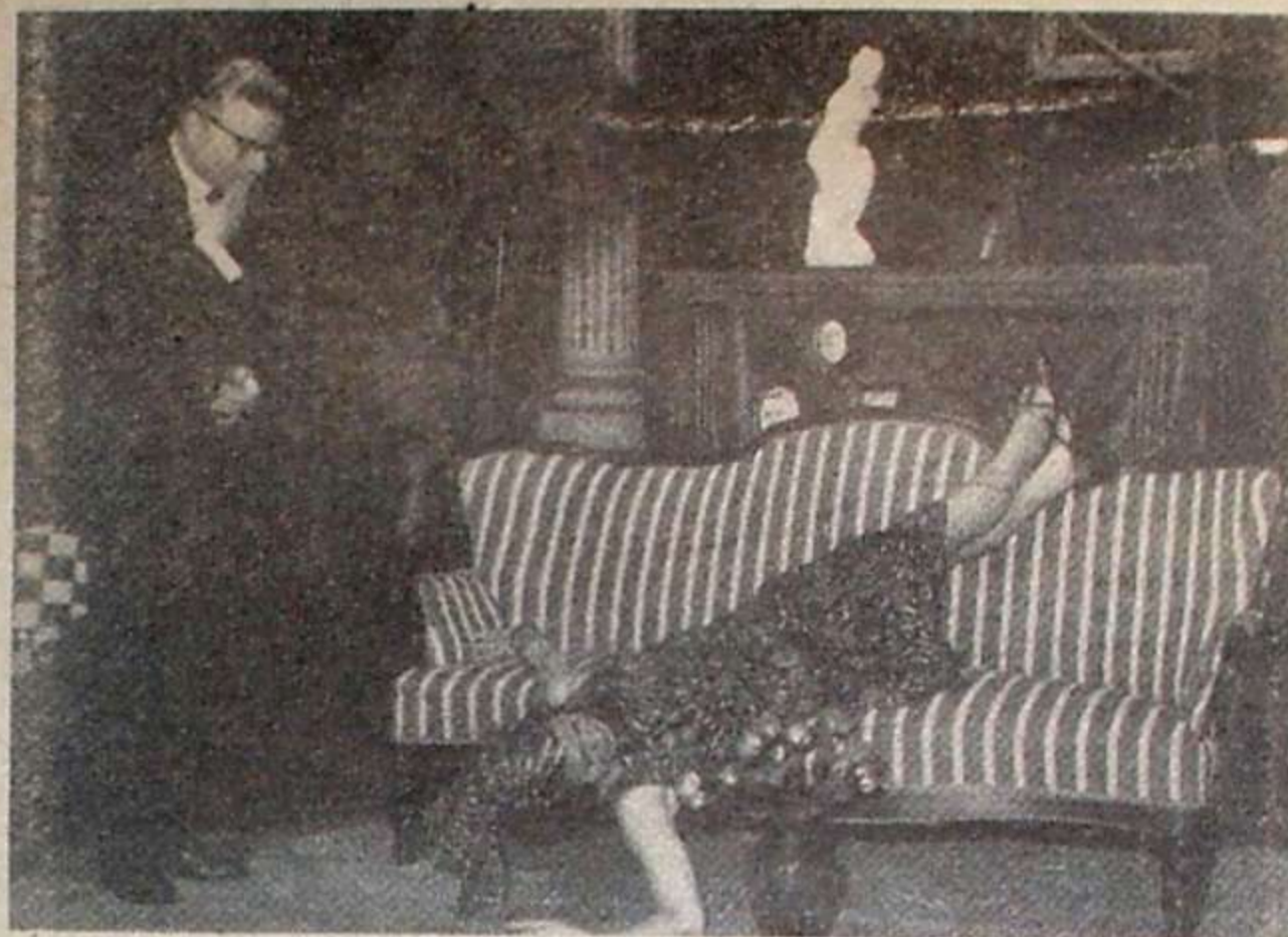
Witold Skaruch rzeczywiście dotrzymał zadeklarowanej wierności autorowi, ściślej mówiąc — pełni założeń problemowych reżyserowanej dzieła, uwytłaczając drugi doniosły temat „Grupy Laokoona”: oddziaływanie nijakiej atmosfery domu rodzinnego na psychikę młodego pokolenia. Nie mam pewności, czy sam Tadeusz Różewicz, zaangażowany podczas pisania komedii polemicznie w kwestię odbioru sztuk pięknych, zdawał sobie wtedy całkowicie sprawę, jak dalece prekursorska jest jego satyra w innym socjalnym aspekcie. Przecie dzisiejszy widz i czytelnik stał się ostatnio świadkiem ciągłych radiowych, telewizyjnych, prasowych apeli do młodzieży, by wybierała zawód jak najrozważniej. W rodzinie z „Grupą Laokoona” panuje pod tym względem kompletny chaos i niezdecydowanie. Jej popularny chłopak jest, miejmy nadzieję, raczej anachroniczny, rodzice — niekoniecznie, różnie z tym bywa. Alarm trwa.

Różewicz „podreżyserowuje” swoje sztuki w didaskaliach, są tam dodatkowe zasoby humoru sytuacyjnego i charakterologicznego, ergo — wierność wizji autora na pewno popłaca. Nie tylko inscenizator, cała lubelska obsada „Grupy Laokoona” stanęła na wysokości zadania. Przekomicznie „ważny” w rodzinie, a zenująco ugrzeczniony wobec „czynnika” był Krystyn Wójcik jako Ojciec; całkiem zabawnie brzmiało w ustach Adeli Zgrzybłowskiej (Matki) ostentacyjnie dyskretnie „przestawić”, „odstawić”, „wykipiało” i naprawdę bawiła jej metamorfoza w „malarza”. Pogodę Dziadka, pięknoducha tartej daty, z powodzeniem odtwarza Jerzy Imy. Jurorzy też na swój sposób potęgują abawę — Witold Zarychta, Maciej Polaski, Fytus Wilski, zwłaszcza Stanisław Stojko (Ordynator), symulująco nieomylnie głęboką ignorancję, połączone z tępym, agresywnym dogmatyzmem. Sukces odnosi również Zyta Polomska w epizodycznej roli Przyjaciółki, która wpada w euforię z powodu opublikowania „Listów Spinozy”.

Do bardzo atrakcyjnych momentów należy scena w pociągu (właściwie — prolog, gdzie ma sposobność do popisania się swoją niezawodną siłą komiczna Włodzimierz Wiszniewski jako Pan II, pospolity obywatel — drobny przemysłowiec, pozostający poza obrebem dyskusji o sztuce. Henryk Sobiechart (Celnik I) Marian Drozdowski (Celnik II) utrafił „kompetentnym” odezwaniem się o Kierkegaardzie w ton, który pozwala na metaforyczne traktowanie celników z „Grupy Laokoona”.

Dowcipu dopełnia scenografia Teresy Targońskiej, prezentująca mieszkanie-lamus inteligentów z pretensjami oraz, jak się rzekło wielką rozmaitość ekstrawaganckich eksponatów konkursowych.

W sumie spektakl jest brawurowym i celnym pokazem szeregu absurdów z okolicy „kultury i sztuki”. Aktorzy grają ostro, nie stroniąc od groteski i farsy. Każde zdanie mistrzowskiego dialogu serwują zręcznie.



Tadeusz Różewicz: „Grupa Laokoona”
Krystyn Wójcik (Ojciec) i Adela Zgrzybłowska (Matka)

Fot. KAW

Grupy Laokoona. Kto wie, czy nie dlatego, że wylapał naprędce trochę wiadomości ze studium Lessinga, przeciskał się do owej grupy przez tłum cudzoziemskich turystów, pokonawszy resztę przestrzeni Muzeum Watykańskiego w biegu maratońskim.

Inaczej prezentuje wymienione postacie odsłona ostatnia. Tu są już one, jak słusznie zauważył reżyser, ofiarami czyli, powiedziałabym, są nie tyle same sobie winne, ile padają ofiarą ogólnej dziś utraty kryteriów estetycznych.

Zródło utraty, która dotknęła odbiorców sztuki, ukazuje odsłona III, spotkanie jurorów na wystawie konkursowej. Zgromadzone tam eksponaty (wstrzymuję się od ich opisu, by nie pozbawić widza atrakcyjnej niespodzianki scenograficznej) — otóż te dziwolągi świadczą wymownie o destrukcji

w niego Piękno”. Tylko że nasz szesnastolatek zdradza łście gombrowiczowską niemożność „percypowania” na słowo honoru. Zresztą, wiadomo, uległ już wpływowi „politechnizacji”, mało go obchodzi humanizm. Trudno, gotowi jesteśmy nie demonizować sprawy — gdybyż jednak chłopiec był w ogóle jakoś sensownie przygotowany do życia. Atoli, indagowany w kwestii wyboru przyszłego kierunku, wykazuje absolutne désintéressement. Oznajmia wprawdzie zniechęca, że stara się stworzyć własny typ osobowości „nie przez wzorowanie się na kimś”, coż kiedy gdzie indziej palnie: „Chciałbym znaleźć szczęście w małżeństwie i dobrze płatny zawód” (tudzież „dobre mieszkanie”, ma się rozumieć). Ojciec, Dziadek, Matka, każdy na własną rękę, podzuczają mu projekty. Zgoda, półdzie ostatecznie na filologię albo na „stomatologię klasyczną”, a czemuż by

Stanisław Misakowski

DANO MI

Dano mi oczy —
nie wychodzące z siebie
mogę być wszędzie

dano mi ręce
bym w każdym calu
określił swoje miejsce

dano mi serce
nakręcone na godzinę
w której
będę zbyteczny

Kamena str. 10

WYCIECZKA ZA MIASTO

Spójrz jak ta i się dzień
złotnie zagląda w oczy
rozdyma piersi

czy wolałaś nad łąką fruwać
krowe

rozwiane włosy drzew
czy wierzysz w nieodwracalność
słowa

o!
tam zwrotka wiersza
macha zieloną metaforą

biegnijmy
nim semafor ciszy
zamknie podwoje

Ryszard Milczewski-Bruno

Leonardowi Przyjemskiemu

WÓDKA

:Nie ma zarostu
A jednak ją gołą — —
:Rozgrzewa ale —
Choć — nie przy-o!-dziewa — —
:Pierwszy tyk nie —
Smakuje a
Ostatni może za-
Szkodzić — —
W Górze i na Dnie — jedno —
Cześnie? — być — do-
Nosicielem siebie? — —

Ręce pastewne
Pizdum gryzdum
Karta stół:
Zanieść się jak
Się setkę niesiel
Pościel pościel

Krzysztof Paczusi

MIASTO

— moje miasto nie śpi
jest tylko
dokola

czasem splywa wzdłuż
skroni
szepcząc prostackie
wyznania
od których
usta wypełniają się
słodką
śliną a trawa rudzieje
na podbrzuszu

niekiedy jednakże
wziera się we mnie
gwałtem
moje miasto a
wtedy pożdam
niefrasobliwej szarości zaklejonej
ordynar nie plakatami
sno

mnie i ciebie, Panie Boże ty mój, oszukać, więc mnie nie opuszczaj) ot i doczekał ja sądu twojego ostatecznego, słyszał ja różne gromy, różne kanonady, no, nie słyszał ja jeszcze takiego okrutnego grania. A sanitariusz Kuryluk z 3 kompanii nos w... zechem dłoni wytarł i tak sprawę skwitował: ojezłuku, to nie w niebie grają, to nasi armatnicy ogniem szkopski brzeg święcą. Taki był łomot. Mgła z wodą spłynęła, parująca, dygocąca ziemi pod skórę wlała, a oni batalionami, kompaniami, plutonami pod tym łomotem, jak pod czarnym parasolem do brzegu biegli, głów nie schylając, bo nie było na to czasu. Nawet na umieranie czasu było jeszcze zbyt mało. Poganiani krzykiem dowódców, sami siebie krzykiem poganiali: do łodzi. Odbijając. Już. Już. Ty gdzie? Ty szcze na briegu? Póki ogień nad nami. Równy. Wiosłami raz. Dwa. Trzy. Póki dym. A kto nie wiosłuje, niech tarabani w tamten brzeg. Równy. Raz. Dwa. Trzy! Ot i doczekali my święta ludzi dobrego. Aż wreszcie przyszedł czas umierania, na samym środku wody, gdy zapomnieli już jak pachnie własna ziemia, a nie zdążyli jeszcze poznać zapachu tamtej, która przed nimi była. Młodzik, który płaszcz właśnie rozpinał, jakby był już pewny, że dopłynie, że pobiegnie do przeciwpowodziowego wału za którym Niemiec przy Niemcu, jakby się już w myślach sposobił do tych pięćdziesięciu szybkich kroków, płaszcz właśnie rozpinał i tak się zwał na dno łodzi bez krzyku żadnego i bez żadnej prośby. Kuryluk na czworakach do niego, ale nawet bandaża nie wyjął, bo po co? Kuryluk już dwa lata jest sanitariuszem i nie musi ucha do żołnierskiego szynelu, albo do bluzy żołnierskiej przykładać, żeby wiedzieć, jak się mają sprawy. Więc Kuryluk tylko popatrzył i zaraz wrócił na swoje miejsce na tył łodzi, a teraz nad młodzikiem stary sierżant się pochylił i nie wiadomo po co płaszcz w pół rozpięty zaczął mu zapinać i nie wiadomo po co powiedział do młodzika, który nawet własnej śmierci nie zdążył usłyszeć: znał ja twoju matieru i acca. A to wszystko było ileś tam godzin temu: pięć, sześć, osiem? Gdyby tu uczciwa miara czasu była, można by powiedzieć: pięć, sześć, osiem dni temu. Bo każda godzina była tu dniem przynajmniej. Brali i oddawali każdy metr mokrej ziemi po trzy, albo i cztery razy. Przebagna torowali sobie drogę, przez rowy melioracyjne płynęli i przez te same bagna wracali i na dno rowów opadali jak ciężkie kamienie. Folwark Christiansaue, to był ich cel pierwszy. Dla wielu ostatni. Choć pól dnia minęło, folwark był ciągle w niemieckich łapach, a ten brzeg, na który kilka godzin temu wyskoczył sanitariusz Kuryluk, był ciągle tak blisko, że słychać było jak w Odrze bulgocze woda od wszelkiego gorącego żelastwa. Siedzi Kuryluk w płytkim okopie, a raczej w płytkim, szerokim dole wyłobionym przez pocisk z haubicy. Wyjrzał z tego dołu — okopu i tamten brzeg przypomniał sobie nagle. Na lewo i prawo mgła. W niebie i na ziemi. I ani obcych, ani swoich, ani ptaków, ani drzew. Ale to nie była mgła, to był dym i kurz, który nad ziemią, nad żywymi i umarłymi się unosił. Kuryluka mało obchodziła ziemia. Niezbyt wiele obchodzili go teraz żywi i umarli. On nie dla nich. On dla tych, którzy stanęli między życiem i śmiercią i nie mogli się zdecydować w którą stronę bliżej. Dla tych, którzy w bólu zaciskali zęby, żeby nie krzyknąć i dla innych, którzy krzyknęli, aby nie zaciskać w bólu zębów. Bo można czasami, jeśli ma się trochę szczęścia, wielki ból krzykiem nieludzkim wypłoszyć. Choćby na minutę. Mało? Wszystko zależy, czy liczy się minuty, czy zaczyna się od sekund. I Kuryluk nie dziwi się tym, którzy krzyczą, albo nawet wyją, bo Pan Bóg nie po to stworzył na wojnie sanitariusza, żeby się sanitariusz dziwował, oglądając to czego w ogóle nie powinno się oglądać ani w niebie, ani w piekle. A tym bardziej na ziemi. Na lewo i prawo mgła. Ani drzew, ani niczego. Białe wszędzie, a w torbie Kuryluka czarno. Bitwa się jeszcze nie skończyła, skończyły się jednak białe bandaże. W każdym razie nie było ich już w torbie Kuryluka i sanitariusz 3 kompanii poczuł się nagle tak, jak żołnierz na pierwszej linii, któremu zabrakło pocisków. A gdzie tu pierwsza linia, a gdzie tu ostatnia? Od strony Christiansaue znowu warkot i chrzęst gąsienic. Kuryluk nie ma całkowitej pewności, czy przed nim jest chociaż jeden taki, który ma siłę machnąć granatem w ten zbliżający się chrzęst. Wymieszali się na tym bagnistym, płaskim terenie jak ryby w sieci. Żywi na wierzchu, zabici na dole, albo na odwrót. Żywi w pierwszych okopach, a w dołach, wygrzebanych pospiesznie tuż przed nosami Niemców, zabici trzy kroki od brzegu, przy kolejowym nasypie, przy żelaznym moście. Albo na odwrót. Temu pierś bandażem przewinąć, trzymaj się człowieku, leż spokojnie, znajda cię, na łódź wezmą, jak król wicz przez wodę przepłyniesz, wyleżysz się w szpitalu za wszystkie czasy, za wszystkie wojowania, temu tamponem dziurę zatkać, z której krew jak z sikawki, ale masz w sobie tej juchy, bracie, nie oszczędzaj, hojny jesteś, temu nożem dwa palce u lewej ręki, które tylko na twardej, chłopskiej skórze się trzymają, wielka mi rzecz, czego się krzywisz, znam takiego, co w ogóle palców nie ma, a baby za nim, jak psy za kością, bo u chłopów nie w palcach dowcip, chociaż, nie powiem, niektóre baby na paluchy chłopskie także zerkaają, ale pluć na takie, jeszcze ci zostało, co chłopu każdemu potrzebne. Krwi wacanie. Skąd to się w nim wzięło? Z lapiduchowskiego nawyku, czy z mądrości wojennej, która jest ze wszystkich mądrości najmądrzejsza? Te swoje dwie lapy, nie własną juchą wypaśćkane, pod nos podtuka, jakby każda krew pachniała inaczej, jakby można było wywachać kto w strachu dogorywa, a kto w gniewie, kto przez ten swój dół ostatni, głęboki przeskoczy, a

kto się sturla pokornie na samo dno. Kuryluk głowę unosi i dwa metry przed swoim okopem, przez niemiecki pocisk pięknie przyrządzonym, buty zobaczył parcie, gwoździemi nie podbite, znaczy się swojskie. — Ty, dziabnęli cię. Mocno oberwał. Sturlaj się do mojego dołka. I nie czekając na odpowiedź, pomyślał, że z przepoconej koszuli żaden na grzbiecie pożytek, a można z niej łatwo zrobić bandaż całkiem przyzwoity, chociaż niecałkiem biały. Pot, rzecz ludzka. Tak jak krew. Ludzkie przy ludzkim. — Ty, czego gębą nie ruszasz. Tak mocno cię dziabnęli? Chwycił leżącego za nogi i zaczął go ciągnąć do swego dołu. Ciężko ciągnął, bo piechur nie pomagał mu ani ręką, ani nogą, ani nawet jękiem. Leżał nieruchomo, jak kłoc drzewa, któremu ziemia bliższa niż wszystko co pod ziemią. Gdzieś tam na przedpolu, między Odrą a folwarkiem Christiansaue przetaczały się niemieckie czołgi, ale chrzęst gąsienic nie zbliżał się do Kuryluka, a więc można się było domyślić, że z 2 batalionu zostało jeszcze przynajmniej kilkudziesięciu takich, którym sanitariusz Kuryluk nie był chwilowo potrzebny. Zresztą, komu może być potrzebny sanitariusz nie posiadający w torbie nawet kawałka bandaża? Koszuli Kuryluka nie należało

List piechura do Zośki Urszuli, Kryśki Teresy...

chwilowo brać w wojenną rachubę, bo ta koszula zarezerwowana została dla piechura, który znalazł się właśnie w silnych rękach sanitariusza. Łupnęło obok nich. Najwyżej dwa metry obok nich lupnęło, jakby niemiecki kanonier chciał trafić w dzieśiatkę, to znaczy w swój własny dół, przywłaszczony chwilowo przez nieprzyjacielskiego żołnierza. — Żeby cię własna krew zalała — krzyknął Kuryluk, unosząc przytuloną do ziemi głowę i wypływając piach. Wtedy zobaczył swego piechurę, którego tuż przed tym wybuchem zdołał wciągnąć do dołu. Zamknął oczy, otworzył, zamknął i znów otworzył i teraz już był pewny, że tak ma właśnie być, jak jest i że niczego już nie odmieni. Nogi miał piechur zdrowe i brzuch nawet małym odłamkiem nie tknięty i piersi nawet jedną kulą nie naznaczone, tylko z głowy piechura została krwawa miazga. — Tak trafić człowieka — głosem zduszonym Kuryluk, jakby po raz pierwszy w życiu miazgę taką oglądał — z przeciwpancernej chyba walnęli. No i widzisz, bracie, tfu, nie nie widzisz, a ja nawet nie wiem, czyś ty młody czy stary i chyba tylko Pan Bóg wśród zabitych cię rozpozna. A nie mogłeś tej swojej lepetyny ździebko schylić? Swisnęły ci tylko, zafurkotało i poleciały kogo innego szukać. Od brzegu tupot. Pacnęło z granatnika po lewej stronie dołu, pacnęło po prawej, ale tupot narastał. I Kuryluk już wiedział, że to jakaś nowa kompania, albo może nawet cały batalion wdeptuje się w zachodni brzeg, rozpycha się łokciami na tym skrawku dziecięciokrotnie przerwanej różnym żelastwem ziemi. Więc zaczął w pośpiechu przetrząsać kieszenie zabitego piechura, papierów jakichś szukając.

(Zośka tak ci piszę, a nie inaczej, bo w nagłości piszę, a co najgorsze, że także w gniewie. Miałem przyjąć do twojej łączności, bo nawet było mi po drodze, gdy mnie porucznik do Lietzegörice z meldunkiem wysłał. I tak było mi po drodze, że aż w las wszedłem, żeby z drogi zboczyć i żeby ciebie nie zobaczył, bo nie wiem co bym zrobił, gdybym cię zobaczył. A co mówiłaś, gdy mówiłem, że po wojnie do domu cię mojego zawiozę. Mówiłaś, że tak będzie i jeszcze mówiłaś, że nie może być inaczej, bośmy sobie stowo dali. A co mówiłaś, gdy z Greifenbergu przez trzy noce szliśmy nad Odrę, a ja ci na każdym postoju kawę ciepłą w kociołku przynosiłem? Ze aż wspominać trudno tak mi piękne słowa mówiłaś i mówiłaś, a dotknąć się nawet palcem nie dałaś, jakbyś była jakaś święta w co ja chciałem bardzo wierzyć).

Tyle tylko znalazł. Trzy kartki wyszarpane z zeszytu. Kopiowym ołówkiem nabazgrane. Nie licząc scyzoryka i kilku kostek cukru i pakunku z bandażem i pękniętego lusterka. Siedem lat niepowodzenia, piechurze. Do jakiejś Zośki. Szukaj Zośki, znajdziesz może nazwisko piechura bez głowy. Dołączył Kuryluk do zdyszanych żołnierzy, którzy mieli w oczach jeszcze trochę nadziei, bardziej parciającej od parciających pasów, ale jednak nadziei, bo każdy z nich tak chyba myślał: jak już się przepłynęło szczęśliwie przez tę cholerną rzekę, przez tę gotującą się wodę, która, zdawać się było, nie miała końca, ale miała dno, jak już przez nią szczęśliwie, tu już większe nieszczęście spotkać nas nie może. I Kuryluk z nimi, bez żadnej nadziei, ale i bez strachu, ale już z bandażami w torbie, które wyżebrał od niezbyt utrudzonego jeszcze sanita-

riusza. Dziesięć minut biegli i skończyła się gonitwa. Tyle tylko tej wywalczonej od wczesnego świtu ziemi, że można ją było przez dziesięć minut dokładnie zelówkami zmierzyć. Ale Kuryluk zdążył przez ten czas znaleźć resztki swego batalionu i zaraz mu krzyknęli, gdy doczłogał się do obszernego okopu: żyjesz — lapiduchu, a już myśleliśmy, że koniec z tobą, zobacz jakie tu mamy luksusy. W okopie głębokim, że nawet wysoki Kuryluk karku schylać nie musiał, wody było po kostki. — No i widzisz, jak komu w gardle zaschnie, to ma studnię pod nogami. W wodzie leżało dwóch zabitych, a jednym z nich był starszy sierżant, który pięknie się żegnał z tym młodzikiem na łodzi, który płaszcz mu zapinał. (Ale co mi Zośka z tej mojej głupiej wiary i z twoich słów pięknych, jak to wszystko kłamstwem było. To mi powiedział plutonowy Zurek nie ze złości, ale z przyjaźni, że bym wiedział jak świat wygląda. Z Zurkiem my z jednej wsi i do jednej wsi wrócimy, więc ja mu wierzę, bo on znał moje sprawy i także, że z tobą mam do matki swojej przyjechać. Tak mi powiedział, ty o zapowiedziach myślisz i w twoich myślach jest sama uczciwość, bo ciebie znam od dziecka, a twoja dziewczyna z porucznikiem się lajdaczy, co sam widziałem i co mogę nawet przy niej powtórzyć. Widziałem jak do Labudy wieczorem przyszła, a adiutant Labudy szeptał mi śmiejąc się bardzo, że dzisiaj sobie porucznik dobrze porucha, bo ta telefonistka jest w jego typie. I Zurek długo czekał, żeby sprawdzić czy adiutant prawdę gadał i wyszło na to, że prawdę gadał, bo z kwatery Labudy to ty dopiero przed samą północą. Taka z ciebie święta, że gdy cię chciałem pocałować toś się bardzo obruszyła, a Zurek usłyszał od tego ordynansa, ale ta dziewczyna to jest jurna, tak kwiczała, jakby ją ktoś zarzynał, aż przez ścianę było słychać tak jej mój porucznik dogadzał i takiego dał jej cugu, że jej wystarczy do samego Berlina, w te słowa właśnie ten ordynans do Zurka. Więc ja piszę do ciebie w rozgorzyczeniu wielkim ty moja święta Zośko, bo mi się cały świat na głowę zawałił. Jutro chyba przez Odrę, ale jeszcze o tym nie myślę, bo myślę teraz o tym co mnie Zurek pod przysięgą powiedział i piszę ja do ciebie z zamiarem takim, żebyś swój grzech ciężki i moje ciężkie upokorzenie nosiła dzisiaj, jutro i zawsze jak młyński kamień u szyi). Dopiero późną nocą, w Neu Rudnitz, Kuryluk mógł list dokładnie przeczytać. Siedział w rozbitym do połowy domu, w którym trzy ściany zostały i kawałek dachu, pił czarną, zimną już kawę i patrzył na te trzy pomięte, poplamione kartki jak na apel jakiś, albo rozkaz, który należałoby przeczytać jeśli nie przed całym pułkiem, to przynajmniej przed batalionem. Zrobiło się na świecie trochę ciszy, bo przecież zarówno ci, którzy wygrają, jaki i ci, którzy dostają po gnatach, muszą chociaż przez chwilę odpocząć. Ktoś zajrzał Kurylukowi przez ramię i sanitariusz powiedział zaraz — znalazłem to przy zabitym. Całą głowę mu rozniosło. — Zdarza się — zachrypiał nad Kurylukiem — przynajmniej żadnej męki nie miał i to dobre, że zdążył przed śmiercią coś napisać. Przynajmniej takie szczęście dla rodziny, list znad grobu jakby... — Takie tam zasrane szczęście — wruszył ramionami Kuryluk i wyszedł z rozbitego domu. Na wyszczerbionych schodach drzemało dwóch żołnierzy. Sanitariusz przeszedł obok nich ostrożnie, oddech, nawet wstrzymując, bo znał cenę takiego kradzionego snu. (Chciałem ten list dzisiaj ci wysłać przez Zurka, który się na to zgodził, ale ci wysłać może jutro, gdy już będę na tamtym brzegu, bo niby wszystko sobie przemyślałem najpierw w rozpacz, a później w spokoju i wszystko sobie w głowie mądrze poukładałem, a nie wiem jak naszą sprawę zakończyć. A Labuda ma żonę i dziecko, co ja wiem, bo też mi Zurek mówił, a on się dowiedział od tego ordynansa. I przede mną się taka ciemność od tego wszystkiego zrobiła, że nawet jak się noc ta skończy, to zostanie ciemność. Na skraju Neu Rudnitz, w parterowym, murowanym domu usadowiło się dowództwo pułku. Biegania była na podwórzu. Rozwijano kable, poganiano łączników, bo nawet śpiący front nigdy nie jest tak naprawdę śpiący. Dziewczyna szła przez podwórze i Kuryluk, przyspieszając kroku, stanął na jej drodze. — Jest tu może jakaś Zośka od telefonów? — A bo co? — ściągnęła mocniej pas, poprawiła bluzę. — A bo nic. List ważny muszę doreczyć. — Doreczaj, tylko nazwisko tej Zośki najpierw sobie przypomnij. — Nie znam nazwiska. Wiem tylko, że Zośka. — A od kogo pismo? — Nie wiem. Od żołnierza, którego już nie ma. — Rozumiem. Stał w ziemi czarnej, tłustą spoglądając, która rozjaśniła się od czasu do czasu, nabrała wojennej barwy, gdy nad Neu Rudnitz i nad Freienwalde i nad Christiansaue zapalały się rakiety. Czerwone. (Niczego nie rozumiem). Zielone. (Albo wszystko rozumiesz, bo diabli cię wiedzą, czyś lepsza od tamtej) Białe. (W tym białym świetle wyglądasz jak jakaś święta, w co bardzo chciałbym wierzyć). — Jest tu Urszula, Krystyna, Teresa, ale Zośki nie ma. Wtedy sięgnął po list, po te trzy kartki, które zdawały się coraz cięższe i już tak się czuł, jakby miał kamieniami wypchane kieszenie. Zostawił ją z listem piechura na środku podwórza, gdzie łącznościowcy kable przeciągali, gdzie przez godzinę, albo dwie, albo trzy nawet, nikt nie umrze i nikt nie będzie czekał na bandaż sanitariusza. — Ale to nie do mnie, przecież — dagonił go krzyk dziewczyny — co mam z tym listem zrobić? — Przeczytać — odkrzyknął, zatrzymując się przy płocie, — przeczytać Kryśce, Urszuli, Teresie. I przez chwilę wierzył, że list piechura trafił jednak tam, gdzie trzeba.

Ryszard Liskowacki

NIEPOSPOLITE DZIEJE

KSIĘŻNEJ PANI

NA OPOLU

Stanisław Wiśniewski

UBIEGLOROCZNY udział Opola Lubelskiego w głośnej imprezie telewizyjnej stanowi dogodną okazję do przypomnienia mało na ogół znanego faktu, iż także i to miasto miało w swej historii okres świetności i pomyślnego rozwoju. Miasto wyrobiło sobie wysoką pozycję w XVIII w. głównie dzięki temu, że znalazł w nim swoją siedzibę możny ród Lubomirskich. Jego przedstawicielka, znana z aktywności politycznej i szerokich aspiracji intelektualnych, księżna Zofia, eks-wdowa po poprzednim właścicielu Opola, Janie Tarle, postanowiła podnieść miasto do rangi znacznego ośrodka życia umysłowego i towarzyskiego lubelskiego ziemiaństwa. Dzięki jej zabiegom wzniesiono okazały i piękny pałac z ogrodem, założono też bibliotekę „nieszczupłą”, gabinet przyrodniczy, zgromadzono bogate zbiory militariów i dzieł sztuki. Opole stało się głośne w całym kraju nie tylko dzięki temu, że odwiedzały je koronowane głowy (m.in. król Stanisław August w drodze do Kaniowa), ale także dlatego, iż skupiało się tu niezwykle bujne życie towarzyskie i obyczajowo-rodzinne szlachty z bliższych i dalszych okolic.

O popularności organizowanych nie tylko w opolskiej rezydencji Lubomirskich, ale i w sąsiednich dworach ziemiańskich (np. Bełżyce) licznych balów, bankietów, wesel, wystawnych uczt etc., decydował zdaniem doskonale zorientowanego w ówczesnych realiach Kajetana Koźmiana fakt aktywnego w nich uczestnictwa niewiast, które „pięknością i wykształceniem odbijały od wygotowanych elegantek prowincjonalnych, lecz szczerą młodością udzielały się zabawom, a szczególnie tańcom”.

W tym pokaźnym orszaku urodziwych i wytwornych „pań z towarzysztwa”, uświetniających każdą uroczystość rodzinną i towarzyską, wielce uprzywilejowaną pozycję zaczęła od pewnego czasu zajmować księżna Rozalia Lubomirska, małżonka następnego dziedzica Opola, księcia Aleksandra. Natychmiast po zainstalowaniu się na dworze opolskim ta „młoda, piękna i wesoła aż do pustoty” osoba, z wielką ochotą i żarliwością rzuciła się w wir balów i zabaw miejscowego „obywatelstwa”. Wielkie powodzenie zdobyte na niwie towarzyskiego życia mogło upewniać ją samą i najbliższe jej otoczenie w nadziei, iż w przyszłości będzie mogła wziąć aktywny i owocny udział w „światowym życiu”, wypełnionym beztroską i przyjemnościami. I rzeczywiście, lata następne zdawały się obiecywać spełnienie, i to z nawiązką, wszystkich tych marzeń i oczekiwań. Nikt jednak nie wiedział, że to burzliwe i romantyczne życie, do którego przysposabiła się w Opolu i na lubelskich dworach ta — wedle określenia Koźmiana — jedna „z najpłochliwszych kobiet Polski”, przerwie rychło w sposób brutalny i okrutny jakobińska gilotyna na rogatce Vincennes w Paryżu...

Rozalia urodziła się w 1768 r. w Czarnobylu na Ukrainie jako córka Jana Mikołaja Chodkiewicza i Ludwiki z Rzewuskich. W wieku 19 lat została poślubiona przez księcia Aleksandra Lubomirskiego, kaszte-

lana kijowskiego, jednego z najmniejszych panów w ówczesnej Polsce, właściciela m.in. dóbr opolskich, człowieka niezbyt ciekawego, nader sztywnego i skąpego. Młoda dziedziczka opolska, podobnie zresztą jak i jej małżonek, rzadko przebywała w swym rodzinnym gnieździe. Częściej oglądały ją salony warszawskie. W stolicy, w dobie Sejmu Wielkiego „w gronie przyjaciółek, artystów i literatów, zachwycała wdziękiem, temperamentem żywym i niepospolitą urodą ówczesny świat arystokratyczny”.

Wzorem innych ówczesnych piękności usiłowała dobić się o serce i względy księcia Józefa Poniatowskiego. Podobnie jak i ona stała się również bohaterką głośnego skandalu towarzyskiego. Znajdowała się bowiem w gronie tych dam, które kiedyś w dniu imienin księcia Pepi „zebrały się pod Blachą, przekupiły kamerdynera, że ich wpuścił w niebytność księcia do pokoju sypialnego księcia i tam kwiatami łóżko jego uwieńczyły, gdy ksiądz niespodzianie nadjechał ze swoją faworytą, aktorką Sitańską, i wszedł do pokoju. Spotkanie to — jak zauważa K. Koźmian — nie bardzo było z obóch stron przyjemne”.

W późniejszym czasie niefortunna amantka w poszukiwaniu dalszych przygód podejmuje kilka wypraw do Francji, będącej wówczas widownią wydarzeń rewolucyjnych. Lubomirska obraca się w sferach rojalistów i arystokratycznych emigrantów, nie unika kontaktów z dworem królowej Marii Antoniny i żyrondytami. Odwiedziwszy Szwajcarię, w Lozannie popada w konflikt z władzami miasta, który nabrał charakteru politycznego. Na skutek tego musi spełnić nakaz opuszczenia miasta w ciągu 24 godzin.

W czasie swego pobytu we Francji Lubomirska urodziła córkę Aleksandrę. Fakt ten w niczym nie przeszkadzał jej w prowadzeniu aktywnego i swobodnego życia towarzyskiego. Pod tym względem po biła na głowę wszystkie inne przebywające w owym czasie w Paryżu polskie arystokratki, które podobnie jak i cała liczna magnacka „kolonia polska”, z zapamiętaniem oddawały się uciechom tego świata. Lubomirska, obdarzona przez tę socjetę mianem „wiośnianej księżnej”, należała do grona trzech pań słynących z licznych i jawnych zdrad małżeńskich. O ile jednak dwie pozostałe — Wisłocka i Teresa Tyszkiewiczowa (siostra ks. Józefa), wdziękami swymi obdarowywały ambasadorów i ministrów, o tyle „Różyczka” nie była już tak wybredna, zdradzała męża bez skrępułów ze wszystkimi. Nie bez racji ambasador neapolitański w Paryżu nazywał ją „la gran bestiola”.

Jeszcze w czasie swego pierwszego pobytu we Francji Lubomirska nawiązała ścisłe i serdeczne kontakty z b. faworytą Ludwiki XV, obecnie wypędzoną z dworu królewskiego do Chaillot, panią Dubarry. Okazało się, że przyjaźń z tą awanturką, aktualnie wicherzącą wielce przeciw rewolucji i jacobinom, miała fatalne dla polskiej arystokratki następstwa. Oto bowiem w kwietniu 1794 r. Lubomirska wraz z kilkuletnią córką została aresztowana na rozkaz Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego pod zarzutem udziału w spisku kontrrewolucyjnym. Na podstawie znale-

zionych w czasie rewizji u Dubarry (zguotynowanej w 1793 r.) listów pisanych ręką Lubomirskiej, prokurator, słynny Fouquier Inwinc, w czasie rozprawy przed Trybunałem Rewolucyjnym oskarżał ją, iż była agentką kontrrewolucji spiskującą na rzecz uwożenia Marii Antoniny, z lekceważeniem odnoszącą się do ludzi rewolucji. Historycy, badający później treść owych inkryminowanych listów, doszli do wniosku, że nader wątpliwa była podstawa tych obwinień. W listach bowiem nie było niczego innego poza wyrażaniem współczucia dla losu królowej i cokolwiek ironicznymi uwagami na temat przywódców rewolucji.

W toku rozprawy Lubomirska mimo wielorakich wysiłków nie zdołała przekonać członków Trybunału o swojej niewinności. Jej sytuacji w niczym nie polepszyła obrona wyznaczona z urzędu adwokata Chauveau — Lagarde'a, który poprzednio z wiadomym skutkiem bronił Marii Antoniny, Karoliny Corday i pani Roland. Współ z innymi aresztowanymi w tym samym czasie 13 osobami (znalezli się wśród nich m.in. polityk Le Chapelier, prawnik Malesherbes, filozof i prawnik d'Esprémesnil), Lubomirska skazana została na karę śmierci. Zdając sobie sprawę z beznadziejności położenia, uchwyciła się ostatniej deski ratunku, która w przeszłości paru zasądzonym na śmierć w okresie terroru kobietom przyniosła ocalenie. Oznajmiła mianowicie, iż jest w brzemiennej stanie. Deklaracja ta spowodowała przeniesienie skazanej ze słynnego więzienia Conciergerie do „przytułku narodowego” Trybunału Rewolucyjnego. Tutaj, niestety, dała się wciągnąć w przygotowania do ucieczki, organizowane przez współwięźnia, młodego La Trémouille'a który nawiązał nie sympatii z piękną i nieszczęśliwą cudzoziemką i dlatego postanowił robić wszystko, aby wydobyć ją i siebie z tej tragicznej matni.

Spisek jednak został rychło zdekonspirowany, w wyniku czego prokurator spowodował przyspieszenie egzekucji przyjaciela skazanej. Cała ta afera przypiętowała również i jej los. Przeprowadzone przez znanych z brutalności i niestusznych orzeczeń lekarzy więziennych bada-

że przez samego naczelnika Tadeusza Kościuszkę, którego listy do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego pozostały bez odpowiedzi. Na krótko przed kaznią, Lubomirskiej udało się przetrwać do swej przyjaciółki Amelii von Hohenhausen krótki list następującej treści: „Zegnaj Amelii Niezadugo już żyć przestanę. Pamiętaj o swojej przyjaciółce i kochaj mnie w osobie mego dziecięcia, Rozalia”.

Na szafot Lubomirska zaprowadzona została 30 czerwca 1794 r., jej szczątki złożono do wspólnej mogiły na cmentarzu Picpus. Gdyby nie fatalny epizod z La Trémouille, ta nieszczęsna niewiasta być może doczekałaby 9 Thermidora i upadku jakobinów, który nastąpił miesiąc po jej zgonie, i być może przy podjętych podówczas staraniach jej rodziny, zdołałaby się uratować. Tym sposobem bowiem ocalała księżna de Saint-Aignan, towarzysząca jej niedoli, której skazanie na skutek wniesionej do Komitetu próby zostało uchylone.

Burzliwe losy i tragiczny finał pięknej pani na Opolu stały się kanwą paru utworów poetyckich. Tymczasem jednak aż do schyłku ubiegłego stulecia „nieprzenikniony mrok tajemnicy okrywał dzieje ostatnich chwil ks. Lubomirskiej, a wszystko to, cokolwiek (...) o powodach jej męczeńskiej śmierci przytaczano, było oparte bądź na domysłach, bądź na rażących sprzecznościach, nie wspólnego z prawdą nie mających”. Dopiero oparte na analizie autentycznych materiałów archiwalnych badania polskich dziejopisarzy (A. Kraushar, W. Kozłowski, J. Rolle i in.) rzuciły snop światła na tę dramatyczną historię.

Smutnego losu ks. Lubomirskiej nie podzieliła na szczęście jej córka. Dzięki staraniom przyjaciół polskich i francuskich wyrwana została z więzienia i następnie w Szwajcarii oddana ojcu. Zaczęta tak tragicznie swoją młodość przeżywała głównie w rodzinnym Opolu. Po śmierci ojca młoda Lubomirska (dla uczczenia pamięci matki zmieniła imię na Rozalia) wydana została za słynnego i awanturczego podróżnika, Wacława Rzewuskiego, znanego jako Emir Tadż-ul-Fehr.



Rozalia z Chodkiewiczów Lubomirska

nie dało w konsekwencji negatywny wynik i spowodowało wytoczenie przeciw Lubomirskiej oskarżenia, iż symulując ciężą uciekała się do niecznych wybiegów.

Nie przyniosła też oczekiwanego rezultatu akcja na rzecz uwolnienia skazanej, podjęta przez wielu przebywających w Paryżu Polaków, m. in. Barssa, Bleszyńskiego, a tak-

czas zatarał wszystkie ślady pobytu obu niewiast w Opolu. Jedyny tego relikwyt znajduje się w miejscowym kościele, a jest nim marmurowa tablica z łacińskim napisem, wyrażającym uczucie przywiązania córki dla pamięci nieszczęśliwej, a jak z perspektywy czasu ocenić można — również lekko-myślniej matki.

POD PARAGRAFEM

Wypadek

DNIA 29 września ubiegłego roku zdarzył się na drodze w Samokleszczach tragiczny wypadek. Zginęła 10-letnia dziewczynka, a jej 5-letnia siostra doznała złamań kilku żeber oraz uszkodzenia rdzenia w wyniku złamania kręgosłupa. Wobec sprawców takich wypadków zwykły ludzki odruch kaze żywiołową odrazą. Ale tu akurat winowajca, traktorzysta spółdzielni kółek rolniczych (dawna MBM), cieszy się doskonałą opinią w miejscu zamieszkania, w pracy („zdyscyplinowany, sumienny, koleżeński”) jest działaczem społecznym. I nie pije, co w świecie traktorzystów może uchodzić nawet za chorobliwe. W aktach sprawy tkwi pismo z 1967 roku, gdzie jednostka wojskowa dziękuje matce późniejszego traktorzysty, że wychowała syna na wspaniałego obywatela i żołnierza.

Jak doszło do wypadku? Okoliczny rolnik zamówił w SKR przyczepę pod wywóz obornika, którą 27 września przyholował w obejście rolnika inny traktorzysta. Dwa dni potem zajeżdżał po tę przyczepę, załadowaną 4 tonami obornika, późniejszy sprawca wypadku. Ponieważ nie posiadał oryginalnego sworznia do połączenia przyczepy z ciągnikiem, użył w tym celu 14-centymetrowej śruby, którą na końcu „zabezpieczył” zwojem drutu. Traktorzysta wszedł do kabiny, rolnik na przyczepę z obornikiem i ruszyli na odległość 10 km pole. Wszystko było dobrze, dopóki tak zmontowany wózek jechał asfaltem, lecz gdy znalazł się na drodze z kamieniami polnymi, śruba łącząca przyczepę z ciągnikiem wyskoczyła i przyczepa, odłączając się od ursusa, tocząc się jeszcze kilkanaście metrów wyśliznęła w rowie. Ta strona wracała akurat dzieci z przedszkola... Trzeba dodać, że sły nieprawidłowo, prawym poboczem, co na rozprawie sądowej nie zostało podniesione. I ciekawe, czy w tym przedszkolu uczą, jak należy prawidłowo poruszać się po drodze?

Biegły sądowy w zakresie motoryzacji stwierdził, że w traktorze brak było świateł kierunkowskazów i hamulcowego, występowało opóźnione hamowanie lewego koła, lewa przednia opona nie posiadała widocznej rzeźby bieżnika. W przyczepie trójkąt holowniczy był odkształcony, otwór zaczepu nadmiernie wytarty, brak tylnych świateł, nieszczelność złącza hamulcowego, zaś układ hamulcowy przez dłuższy czas nie używany, co wskazywałoby na to, że podczas jazdy złącze hamulcowe nie było do traktora przyczepione, inaczej uwol-

niona przyczepa by wyhamowała. Zarówno ciągnik jak i przyczepa „nie-sprawne technicznie”, a w dodatku połączone starą, niezabezpieczoną śrubą!

Dyspozytor SKR stwierdził, że „badania stanu technicznego pojazdu przed wyruszeniem na trasę ma obowiązek przeprowadzać sam kierowca, ponieważ ma na ten cel przeznaczoną godzinę czasu pracy”, zaś ciągnik rok temu przechodził remont bieżący. Traktorzysta przyznał, iż nie zabezpieczył należycie przyczepy przed odłączeniem, ale SKR podstawiła przyczepę niesprawną. Inny traktorzysta, który dwa dni przed wypadkiem holował tę przyczepę w obejście rolnika, twierdził, że była ona sprawna. Kierownik SKR zeznał, iż gdyby sprawca wypadku złożył dobry bolec łączący, to przyczepa, nawet z niesprawnym układem hamulcowym, nie mogłaby się odłączyć. Ale z kolei można powiedzieć, że gdyby miała sprawny układ hamulcowy, to po odłączeniu musiałaby wyhamować.

Wina nieumyślna traktorzysty nie podlega wątpliwości, sąd pierwszej instancji skazał go na 4 lata pozbawienia wolności. Zarówno prokurator jak i adwokat złożyli skargę rewizyjną. Należałoby jeszcze podnieść dwie sprawy. Po pierwsze — porządki („porządki”) panujące w bazie SKR. Okazało się bowiem, że na tę przyczepę w ogóle nie można odnaleźć dowodu rejestracyjnego i książki pojazdu! Ze traktorzyści brali do eksploatacji byle jakie przyczepy bez odpowiednich dokumentów! Ze karty drogowe były wystawiane in blanco!...

Po drugie — jeśli, zgodnie nawet z faktami tam przepisami, SKR nie musi posiadać stanowiska kontroli technicznej pojazdów, to należy dbać o odpowiednio częstą i dokładną kontrolę techniczną okresową w specjalistycznych przedsiębiorstwach. Należy bowiem żywić zasadnicze wątpliwości, czy każdy traktorzysta jest w stanie postawić fachową diagnozę swemu pojazdowi. Do otrzymania prawa jazdy kategorii ciągnikowej wymagane jest wykształcenie w zakresie szkoły podstawowej. Poziom kształcenia traktorzystów na kursach bywa rozmaite i jakiejś kontroli technicznej może się podjąć 18-letni na przykład chłopak, świeżo po uzyskaniu traktorowego prawa jazdy? Wnioski te mają walor ogólniejszy, albowiem w opisywanym przypadku chodzi o kierowcę doświadczanego, sumiennego ponoć pracownika, i to jest właśnie najsmutniejsze.

pom

„LUDZIE, ludzieeee. Kocham was!” — krzychał rozpaczliwie brodaty mężczyzna, siedząc w kucki na przejściu przez jezdnię głównej arterii komunikacyjnej miasta wojewódzkiego. Momentalnie utworzył się tłum gapiów, co potwierdza raczej tezę, że przeciętny mieszkanin lubelski łaknie rozrywki mrożącej krew w żyłach. Rzecz jasna, że co bardziej wybrednych nie są w stanie zadowolić nawet pioruny i ognie piekielne w miejscowym teatrze dramatycznym, nie mówiąc już o niezbyt zgrabnych, ale za to nazbyt rozebranych dwóch paniach (współczuję, brrrr!) w spektaklu „Hrabia Luksemburg” którymi lokalna muza operetkowa (podstarzała już solidnie) kokieterystycznie zdumiewa, za co powinny się obrazić dziewczęta tutejsze, zgrabne i warte pokazania. Otóż tłum gęstniał, żądny sensacji, rozprawiając entu-

FELIETON O ENTUZJAZMIE

Henryk Makarski

zjastycznie o szansach przetrwania młodzieńca, który tkwi, skulony z zimna, w eureoli długich włosów, z okrzykiem w stylu „retro” na ustach. Drobnego producenta słodkiej waty podjechał z fabryczką, wężąc interes. Dobrze zapowiadającą się zabawę zepsuli funkcjonariusze MO, ładując faceta do radiowozu. Entuzjazm zmaliał.

II

W różny sposób można manifestować swoją radość i rozpaczę, protest i akceptację. O naszym bohaterze, który tamował ruch uliczny (art. 80 KW) najwyższy protokolant Kolegium ds. Wykroczeń coś napisze. I rzecz chyba nie w tym, gdzie się o takich rzeczach mówi, ale jak się mówi.

Widzimy niekiedy obrazki, których wolelibyśmy po raz drugi nie oglądać: korupcja przepłata się z wygodnictwem i prywata, snobizm idzie w parze z chamstwem, brak poczucia obowiązku i zwyczajnej rzetelności nadrabia się wodolejstwem i grą na pokaz.

Zły przykład potrafi zniechęcić do pracy, zatruć entuzjazm, jaki na pewno ziemie gdzieś tam w każdym z nas. I gdyby chodziło tylko o nas, statystycznych obywateli w wieku przeciętnym, byłby to problem pozorny, bowiem — jak uczą mądrości ludowe — starego wróbla nie tak łatwo na marne plewy nabrać. Pokłnie człowiek, roklnie I — do roboty. Co najwyższe

bezmądrym zadowoleniem tu i ówdzie cuchnąć może. Nie wspominać o tzw. marginesie społecznym, bo i wina i kara tu inny wymiar posiada.

Ale idzie przede wszystkim o młodzież. Ją najłatwiej zdemoralizować, gdy nie uderzą skutecznie w co trzeba tak wypróbowane instytucje wychowawcze jak dom rodzinny i szkoła. Młodzież nie lubi czczego gadania, moralów i kazań. Wierzy w to, co widzi. A widzi najczęściej ekran telewizyjny, atakujący non stop.

Człowiek stał się niewolnikiem szklanego ekranu. Nie jest to genialne odkrycie na miarę Feuerbachowskiej alienacji, ale coś w tym jest. Coś smutnego, bo przecież telewizja zmieniła nasze życie w zawrotnym tempie, ukształtowała nowe poglądy estetyczne, nowe pojęcia piękna i brzydoty. Wyłansowała wiele nowych postaw i wzorców moralnych. Ale — niestety — jakże często je zminiaturyzowała i

zminimalizowała, pozbawiając sztukę życiodajnych soków, czerpanych ze śmiechu i płaczu widowni, z jej entuzjazmu. Stąd programy, wyprane z lirycznej świeżości, zamęczone bezdusznym okiem kamery. Stąd łatwość rezygnacji z trudów przeżywania, bo przecież wygodniej bezmądrym wyłączyć telewizor niż wyjść z sali, co wymaga już cywilnej odwagi, motywacji jakiejś, przynajmniej przed własnym sumieniem.

Jesteśmy faszzerowani całymi blokami informacji, sprasowanych syntetycznie, wciśniętych w wąskie przegródki czasowe. Wiatrak agresywnego wszechkoizmu, wirujący coraz szybciej wokół pepka świata, owiewa nas zniechęceniem, utratą wiary we własne możliwości poznawcze i polemność komórek mózgowych. Przepelniony magazyn wiedzy pęka i wkrótce znowu jest pusty. A wiatrak ekspansji informacyjnej nadal miele, miesząc plewę z ziarnem. Pośpiech, pustka i te inne rzeczy zaczynają nas w końcu najnormalniej w świecie męczyć. Latwizna percepcji, pozbawionej możliwości sprawdzenia się w spontanicznych reakcjach sędziów z prawa i lewa — stępiła ostrze naszego krytycyzmu. Obojętność rozleniwia i rozmiękcza, paraliżuje, zabija w nas to, czego z takim trudem dorobiliśmy się w kontaktach produkcyjnych — nasz wspólny entuzjazm.

Patrzą na nas dzieci — nasze najbardziej bezwzględne sumienia.

SZESZ dał w tygodniu, jak Mojżesz, wywodzić lud swój z niewoli, podobnej egipskiej, w którą popadł był nie z własnej winy. Do piątku można brnieć przez pustynię, w sobotę szare komórki mózgu uczniów przestają już reagować na najbardziej nawet wzniósł się i blizszące perty naszej literatury (nie kojarzę z rzucaniem perel przed... niepedagogicznie), no, a siódmego dnia tygodnia cała zdobyta uprzednio wiedza roztopia się w przestworzach i trud Syzyfa zaczyna się od początku. Każdy następny dzień polega zatem na stwarzaniu z twardej i opornej gliny nowego człowieka, ale stara to prawda, że jeżeli człowiek usurpuje sobie prawa boskie — stworzy tylko, jak Ojciec u Schultza — Manekina.

Kochani młodzieńcy permanentnie znajdują się w stanie ogromnego zdziwienia, czekam chwili, kiedy okaże się, że zapomniał już nie tylko alfabet — ale i to, że budynek, w którym się znajduje, nazywa się szkoła. Temu zdziwieniu walnie dopomaga program nauczania i sama literatura egiptysta. Kto na przykład podejmie się próby interpretacji wiersza „Grób Agamemnona” w technikum wieczorowym?

Mnie od mogły termoplaskiej gotów odgonić legion smutnych Spartanów. Bo jestem z kraju smutnego Urotoś. Z kraju — gdzie rozpacz nie sypie kurhanów...

Jeśli chcielibyśmy wytłumaczyć sens cudziemu — zastoiny się językowa bariera, pewnymi funkcjonującymi wyrażeniami w naszej kulturze, pojęciami i symbolami. Stojąc przed rodzakami — jestem bezradna, tchorze i ograniczam się do poddyktowania, nie nazbyt błękotliwego kreszta wniosku...

Bardziej zrozumiałą okazuje się Krasicki. Interpretacja jego „Bajek” w klasie Ia

Mądrzy sławni...

Barbara Koś

przewyższa chyba wszystko, co do tej pory na temat Krasickiego napisano. Przez wzgląd na obyczajnie nie przytoczę szeregu skojarzeń młodych umysłów na temat „ojca lakomego, a syna rozrzuconego”, tudzież dworki, której służebnica w czymś przewiniła, w połączeniu z bajką o pochodni i o świecie. Problem wynika dopiero przy szczerze: „mnie to każda — rzekł hardzie do swego rodzeństwa, siedząc szczer na ołtarzu podczas nabożeństwa” — czyta gładko lśnianowłose chłopię i od razu objaśnia: „Szczer ten nie umiał kadzić”. Na pytanie, co oznacza słowo „kadzić”, w klasie zalega cisza. — Ja nie umiem powiedzieć — tłumaczy zapytany. — Mogę pani profesorze tylko pokazać... Nawet nikt w klasie się nie śmieje. Problem w istocie jest głębszy...

Naukę kończymy o godzinie 29. Gdy miną wiec godzinny miłośnik przestrogi, a przede wszystkim — rozpaczcy, wszyscy szukamy najołgodniejszych pozycji, aby mełnie dotrwać do ostatniego dzwonka. Najbliższej natury zdaje się być pozycja czasowo-horyzontalna, wprost na parkiecie, której hol-

duje wieczny czasowicz z klasy Ib. Kiedyś wycopywał w ten sposób sześć godzin z kolei, odnalazła go dopiero woźna.

Mając w świadomości wirle nauczyciela zaskorupiałego w rutynie, nauczyciela, będącego spetryfikowaną mumią, cały czas korzystam z uniwersyteckiej, polonistycznej wiedzy. Dwie godziny przekonywałam moich uczniów, że „Pan Tadeusz” jest sumą wszystkich gatunków romantycznych, a nie epopeją romantyczną i przypadkiem tylko dowiedziałam się, że nie wiedzą w ogóle, który fragment jest inwokacją i że najbardziej irytującym zagadnieniem dzieła jest to, że jakaś stara panna usiłuje uwieść młodemu Tadeuszu. Ciągłe jeszcze uzupełnianie niedostatków wiedzy, śledzę najnowsze osiągnięcia teorii literatury przekazuje po wszystkim uczniom, aby lepiej im się spalo pod tą ławką. Pamiętam o stwarzaniu na lekcji sytuacji problemowej, choć problemy stwarzają raczej uczniowie i to typu nie opisywanego przez podręczniki fachowe.

— He jest 7 roku 57 — pyta kiedyś koleżka (magister inżynier) na przerwie. Jest błąd

i widać, że bliżsi złamania nerwowego. Robi doktorat, więc nikogo ów stan nie dziwi, ale dziś zwraca na siebie powszechną uwagę.

— 63, a co, od dziś inaczej? — usiłuje ktoś zażartować, ale zaraz milknie.

— Nie wiem — odpowiada słabo kolega — przez całą godzinę udawałam uczniowi, że 63, a uczeń udawał mi, że 42 i trzeba przyznać, logicznie argumentował... Zawsze co świeży, nieskazany umysł... A ja...

Nie kończy i wszystkim nam robi się niewesoło, koleżanka próbuje obliczyć coś na palcach. Wychodzimy ze szkoły w milczeniu, powtarzając w duchu tabliczkę mnożenia.

Jak wyglądamy my absolwenci uczelni a.d. 1973, część z planami naukowymi — po półrocznym już przebywaniu w kręgu pracy zawodowej? Wszyscy rozpoczynaliśmy ją przecież z mniejszym lub większym entuzjazmem. Działamy po 60 proc. hemoglobiny, rozstrój nerwowy i masę leków od neurologa. Ale po pierwszym szoku spójrzmy na dalsze pół roku z odrobina optymizmu. Bądźmy raczej jak ów metafizyczny wół Leśmianowski, który

nie brat się z ciałem, co mario w niewoli. Zł sam to sobie — poza nim. A ono — niech boli

I pamiętajmy, że największą życiową mądrość wyowiedział książka biskup Krasicki, że owszem,

mądrzy — sławni, ale głupi — zdrowi...

KULTURA 1976

BIBLIOTEKA

Jak wygląda biblioteka w oczach przeciętnego czytelnika? Magazyn z polkami wypełnionymi książkami, katalog — z reguły tylko alfabetyczny według nazwisk autorów, bibliotekarka, która często ma bardzo dużo dobrych chęci, ale kwalifikacje nie zawsze najlepsze. Tak wygląda sprawa w sokołnej większości 24 tys. bibliotek, które mamy w kraju. Wydaje się jednak, że stoimy w przededniu głębokich zmian, jakie będą następowały w naszym bibliotekarstwie. Oczywiście zmiany będą stopniowe, w pierwszej rzędzie dotyczą bibliotek największych, najbardziej popularnych, zespół ekspertów opracował raport o stanie naszych bibliotek i przedstawił pierwszą wersję programu ich rozwoju. Poczucie, choć nie najważniejsze miejsce, najmie budownictwo, chodzi bowiem o to, aby wiele cennych książek nie spoczywało w zatłoczonych magazynach, lecz by były dostępne czytelnikom. Ale nowoczesna biblioteka ma spełniać wiele różnych funkcji. A więc przeczeka, płyty

gramofonowe (np. z nagraniami recytacji), taśmy magnetofonowe, wreszcie tzw. książki mówione — dla niewidomych lub tych, którym czytanie sprawia trudności (chorzy w szpitalach). Z tych też względów rok bieżący został ogłoszony Rokiem Bibliotek i Czytelnictwa. To prawda, że formy propagandy czytelnictwa jeszcze nie bardzo będą odbiegały od tradycyjnych. Ale w kręgach bibliotekarzy i tych wszystkich, którym zależy na propagowaniu dobrych książek, będzie się dyskuutowało nowe propozycje, uzupełniało je nowymi pomysłami. Wydaje się, że największą uwagę warto zwrócić na biblioteki zakładowe pracy i różnych organizacji, gdzie tradycyjne formy pracy najbardziej się utrwały.

CO PISZA

Jan Koprowski jest sekretarzem ZG ZLP oraz z-cą redaktora naczelnego tygodnika „Literatura”. Niezbyt wiele więc czasu pozostaje mu na pisanie. A mimo to jego dwie nowe książki są już mocno zaawansowane. Pierwszą

wyda PIW — to dwadzieścia opowiadań poświęconych współczesnym problemom młodzieży, szkoły, rodziny. Tytuł — „Bał maturalny”. Druga pt. „Przyjaciele i znajomi” to wspomnienia o różnych sławnych pisarzach, z którymi autora łączyła przyjaźń lub bliska zażyłość. Zwołennicy np. M. Wańkowicza, S. Cat-Mac-kiewicz czy J. Sataudyngera znajdują tam wiele ciekawych materiałów.

Jan Szczawiej jest nie tylko poetą, ale także autorem dwóch antologii: „Polaka poezja walcząca 1939-1945” i „Współczesna poezja ludowa”. Obecnie pracuje nad trzecią antologią, ale termin jej ukończenia trudno określić, albowiem jej przyszła zawartość wciąż jeszcze powstaje. Będzie to antologia pt. „Księga polskiej poezji robotniczej”. Autor wyznał, że kiedy zaczynał pracę, nie był pewien, czy zdoła zebrać odpowiedni materiał, chodziło bowiem o poezję, pisaną rzeczywiście przez ludzi pracujących w fabrykach, na budowach lub w innych działach gospodarki, a którzy nie są zawodowymi czy półzawodowymi pisarzami. W chwili obecnej ma już utwory około stu ludzi i wciąż bogaci swój zbiór, który liczy już około dwóch tysięcy pozycji. Zamieszczone teksty będą uzupełnione notami biograficznymi autorów oraz ich zdjęciami.

Jan Dunarowski ma już za sobą dwadzieścia książek. Wprawdzie mieszka w Bydgoszczy, ale tematyka jego twórczości obejmuje problemy wsi z Podkarpacia, gdzie się urodził. Pisze powieść pt. „Na przełęczy pod Ostą”. Akcja toczy się w Limanowej i okolicach. Autor przedstawia nie tylko zewnętrzne zmiany na wsi, ale przede wszystkim

dzieje chłopów malarolnych, którzy nie mogą sobie dać rady na zacofanej, podupadłej gospodarce.

KINO

Jan Batory zakończył zdjęcia do filmu „Con amore” według powieści Krystyny Berwińskiej, publikowanej poprzednio w „Literaturze”. Powieść opowiada o miłości, zagrożeniu śmiercią, szlachetności uczuć, poświęceniu — a więc o sprawach interesujących wszystkich, ale rzadko dotychczas uwzględnianych w naszej literaturze. Jednym z „bohaterów” będzie muzyka Chopina — jako tło, ilustracja, a także swego rodzaju „cytat”. Główną rolę gra nie zawodowa aktorka, ale studentka trzeciego roku polonistyki z Warszawy, Małgorzata Snopkiewicz, poprzednio absolwentka PWST. Studentów tej uczelni gra kilku.

Natomiast Bohdan Poręba nakreślił film o Jarosławie Dąbrowskim według scenariusza pisarza radzieckiego Jurija Nagibina. Poszczególne fragmenty kręcono w Polsce, Związku Radzieckim i we Francji. Postać wielkiego rewolucjonisty odtwarza Zygmunt Malanowicz, jego żony Pelagii — Małgorzata Potocka.

Jak już donosiliśmy, siedem dalszych odcinków „Czterdziestolatka” powstanie również według scenariusza spółki autorskiej K. T. Toeplitza i J. Gruzdy. Akcja będzie się toczyła na budowie warszawskiej Trasy Toruńskiej. Anna Seniuk, ekranowa pani Karwowska, powiedziała o swoim partnerze: — Kopiczyńskiemu przywatnie nie mam nic do zarzucenia, zaś Karwowski jest według mnie nazbyt kochliwy. Lo-

jalna żona nie powinna jednak stawiać publicznie takich zarzutów.

Oto kilka krótkich wypowiedzi aktorów, które już ukończyli 40 lat życia. Sofia Loren: Nigdy nie myślę o swym wieku. Być może dlatego, że czuję się młodo, znacznie młodziej niż wówczas, gdy miałam 20 lat. Silvana Mangano: Starość jest piękna, jeśli traktuje się ją jako coś nieuchronnie naturalnego. Monica Vitti: My, aktorki, czujemy się bezsilne, bowiem nie proponuje się nam odpowiednich ról, autorzy scenariuszy uważają, że kobieta może zajmować się tylko miłością i rodzaniem dzieci.

MUZYKA

Jeżeli prawdą jest, że dobra muzyka lagodzi obyczaje, to Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia i Telewizji z Katowice ma tu szczególne osiągnięcia. Niedawno minęło trzydzieści lat jej nieprzerwanej działalności, chociaż pierwszy koncert 160-osobowego zespołu, który przybył z Krakowa, odbył się jeszcze w marcu 1946 roku, niemal tuż za frontem. Krakowska placówka muzyczna jest szczególnie zasłużona w propagowaniu muzyki polskiej i to zarówno w kraju jak i za granicą. Tu debiutowali jako dyrygenci m.in. Witold Lutosławski i Krzysztof Penderecki, a etatowymi dyrygentami byli G. Fiteberg, J. Krenz, P. Perkowski, B. Wodiczko, K. Kord — nazwiska te mówią same za siebie. Jako pierwsza w kraju orkiestra dokonała kwadrofonicznego nagrania siedmiu dzieł Krzysztofa Pendereckiego dla londyńskiej wytwórni „EMI” pod dyktando kom-

KOMBINAT NA JUTRO

LUBLIN nigdy nie miał szczęścia do własnej poligrafii. Już pierwsza drukarnia, która zaczęła pracować w roku 1683, nie mogła zaspokoić zapotrzebowania, chociaż wtedy nie drukowano jeszcze ani gazet, ani akcydensów. Gdy w lipcu 1956 roku oddano do użytku nową drukarnię przy ul. Unickiej sądzono, że potrzeby zostały zabezpieczone na kilka dziesiątek lat.

Z winy czytelników — „wina” ta godna jest najwyższej pochwały — drukarnia przy Unickiej już przestała wystarczać. Powstało przecież drugie pismo codzienne, reaktywowała się „Kamena”, ukazuje się kil-

ka pism zakładowych, a nakłady wszystkich wzrosły do wysokości, o której przed dwudziestu laty nikt nawet nie marzył.

Więc o budowie nowej drukarni gazetowej w Lublinie mówi się już od dość dawna. Były nawet trzy oficjalne lokalizacje, ale w kontekście innych pilnych zadań inwestycyjnych budowa drukarni wciąż była odraczana.

Tym razem sprawa jest już poważnie zaawansowana. W ostatnich dniach odbyło się — z udziałem przedstawicieli partyjnych i administracyjnych władz wojewódzkich, a także Zarządu Głównego RSW Prasa — Książka — Ruch — posiedze-

nie komisji, która po trzydniowej dyskusji zatwierdziła założenia techniczno-ekonomiczne nowego obiektu, o także zapoznała się z wieloma ustaleniami, dokonanymi już z przysługami wykonawcami.

Szybko należy dodać, że nie będzie to tylko drukarnia prasowa, ale cały kombinat poligraficzno-wydawniczo-kolportażowy. Oznacza to, że obok drukarni zbuduje się pomieszczenia dla wszystkich redakcji, administracji, Polskiej Agencji Prasowej, Krajowej Agencji Wydawniczej, Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, Ośrodka Dokumentacji Prasowej, a także przedsiębiorstwa kolportażu Ruch. A również obszerne części socjalną ze stołówką, przychodnią zdrowia, krytym basenem itd. Jak słusznie podkreśliła komisja, zarówno maszyny drukarskie jak i wyposażenie techniczne oraz wszelkie wszystkie obiektów będzie na

miarę XXI wieku. I wprowadzić nie wielkością, ale wyposażeniem technicznym obiekt ten będzie najbardziej nowoczesny w kraju. Roboty wstępne zaczęły się już w tym roku, być może podstawowe także.

Projekt obiektu został wykonany w lubelskim Miastoprojekcie. Głównym projektantem jest mgr inż. arch. Hubert Ciesliuk, absolwent Politechniki Gdańskiej. Nie licząc kilku ciekawych obiektów w Elblągu (gdzie poprzednio pracował) i okolicach, jest on także projektantem m.in. sanatorium Zakładów Energetycznych w Nałęczowie, technikum mechaniczno-energetycznego w Lublinie i liceum plastycznego także w Lublinie.

Teraz chodzi o to, aby wykonawcy, dostosowując się do nowoczesności obiektu jak również palących potrzeb, w sposób nowoczesny ustalili cykl budowy. (d)

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

Do naszego Klubu Starej Fotografii pani Irena Głasek z Kielc nadesłała zdjęcie swojego ojca, 81-letniego dziś Michała Jaśnikowskiego, zamieszkałego w Lublinie przy ul. Czechowskiej 22. Zdjęcie zostało wykonane pod koniec 1918 roku w zakładzie fotograficznym Szeftla w Lublinie przy ul. Krakowskie Przedmieście 24.

Wraz z fotografią p. Głasek przelała nam fragmenty wspomnień ojca, który brał udział w rozbrajaniu 58 Austriackiego Regimentu Piechoty w dniu 11 listopada 1918 roku. Poniżej drukujemy część tych fragmentów.

ROZBRAJANIE

SKIEROWANO nas (byłych jeńców rosyjskich) do komisji lekarskiej, co przesłać nie miało znaczenia, bo czy ktoś był chory, czy zdrow, zostawał przydzielony do marszbatalionu na front włoski. Otrzymałmy umundurowanie, karabiny, amunicję, dwa koce, dwie pary ciężkich, gorskich butów i różne drobiazgi. Przez dwa tygodnie odbywały się ćwiczenia i wykłady na temat wojny w górach. 15 czerwca ostatni przegląd i przysięga. Kiedy przyjechał generał z oficerami sztabowymi i wysiadł z samochodu, ktoś strzelił do niego trzykrotnie z karabinu. Zamiast generała został ciężko ranny jego adiutant i lekko ranny kpt. Generali natychmiast odjechał. Zrobiło się zamieszanie, które nie trwało długo. Na placu kazajowym — od tyłu — pojawił się marszbatalion, otoczono nas karabinami, natychmiast oficer polski rozkazał zanieść front sytuacja była bez wyjścia. W następstwie przeprowadzono osobistą rewizję. Naszemu oddziałowi wydano mundury i karabiny, strzymując stare umundurowanie.



wanie. Wszystko to trwało do wieczora, potem przeprowadzono nas do wawozów na Stawinek, znów obstawiając karabinami maszynowymi. Cały dzień nie dostaliśmy nic do jedzenia, a następnego dnia tylko rzadką zupę. Rozpoczęło się śledztwo, przeprowadzane bardzo skrupulatnie przez żandarmerię. Kto nie miał bystrego umysłu i płał się w odpowiedziach — był kierowany do więzienia.

Sprawa stała się głośna w całym mieście. Lubliniacy ukradkiem podchodzili w pobliże nas śledząc, co robimy. Dzięki temu udało mi się przesłać kartkę do mego przyjaciela — sierżanta Świątkowskiego — z prośbą, żeby mnie ratował. Był on w lasach u austriackiego lekarza, który napisał do komendanta warty, by mnie jako chorego odesłano do szpitala. Dzięki temu znalazłem się w szpitalu (obecnie w tym miejscu mieści się KUL). Leżałem tam trzy tygodnie, potem lekarz wziął mnie na swego

adjułanta. Nasz batalion zaś rozparcelowano, przydzielając po dziesięciu żołnierzy do różnych pułków.

Mnie powiodło się bardzo dobrze. Mój lekarz był Żydem krakowskim. W Wiedniu miał żonę i dwóch synów. Odczuwano tam dotkliwy brak żywności. Kolega, który mnie uratował, pracował jako gospodarz w wojskowym szpitalu i przygotowywał dla rodziny doktora paczkę żywnościową, które ja co dwa tygodnie odwoziłem do Wiednia.

Doktor mieszkał w Lublinie u pani Kurmanowicz. Pewnego dnia p. Kurmanowicz zaprosiła mnie do siebie i poczęstowała wodką wypytując, skąd jestem i z jakiej rodziny pochodzę. Wizyty takie powtórzyły się kilkakrotnie. Wkrótce dowiedziałem się o co chodzi. Pani Kurmanowicz należała do jakiejś organizacji niepodległościowej. Zaproponowała mi, abym dostarczał broń tej organizacji. Chętnie zgodziłem się. Otrzymałem od niej pieniądze, za które nabywałem karabiny w cenie 100 koron za sztukę, za 100 naboi płaciłem 50 koron. Broń kupowałem od żołnierzy — rusznikarzy przy Alejach Reakcyjnych...

Gdy po 11 listopada komendę miasta objął major Grabowski usłyszeliśmy, że nacjonaliści ukraińscy z 58 pułku piechoty austriackiej, w którym sam służyłem przez dwa lata, chcą wywieźć broń i żywność z magazynów. Przy kuchniach było dużo tuczników. Należało więc przeciwstawić się tej akcji. Znalazło się wielu ochotników. Obstawili oni karabinami maszynowymi ulicę u zbiegu Alei Reakcyjnych oraz Zwirki i Wigury, także Ogród Saski. W naszym domu na parterze była restauracja, gdzie ja i inni wojskowi oczekiwaliśmy na przybycie Ukraińców, wszyscy w cywilnych ubraniach. Czekaliśmy półtorej godziny, aż wreszcie ukazał się najpierw oficerowie, później podoficerowie ukraińscy. Wówczas wyszliśmy na ulicę, a jeden z nas dał znak, aby oddział zatrzymał się. Kapitan uczynił to, ale zapytał — odkąd cywile przeciwstawiają się wojsku? Gdy zażądaliśmy złożenia przez nich broni oznajmiając, że potem będą mogli w mundurach odejść spokojnie do domów, kapitan rozemknął się. Gdy jednak nad ich głowami zaświstały kule z naszych karabinów maszynowych, złożyli broń, pozostawili tabory i sami odmaszerowali...

W dużym, wojskowym szpitalu za czasów austriackich pracowało 15 lekarzy, a pozostał tylko jeden — kpt. Dybowski pochodzący z Krakowa. Dwoił się i troił, żeby ująć wszystko w swoje ręce, na szczęście wkrótce zgłosili się do niego lekarze: Sikorski, Wańkowski, Moros i Kowalski oraz pielęgniarki. Dobrze zaopatrzeni i zabezpieczeni

przez doktora Dybowskiego magazyn szpitalny powierzono mnie...

Tymczasem szpital zaczął się napełniać chorymi. Był to przeważnie jeńcy różnych narodowości, którzy po zakończeniu wojny powracali do domów. W październiku zaczęło się zimno i jesienne chłapy, a nimi nikt się nie interesował. Przeważnie nie mieli pieniędzy i w oczekiwaniu na miejsce w przepelnionych i nierregularnie kursujących pociągach przymierali głodem. Lekarze więc rozpoczęli akcję zbierania chorych z dworca, kierując ich do szpitala. Wielu z nich z powodu braku łożek leżało na sennikach w korytarzach. Wybuchła epidemia hiszpanki i tyfusu brzusznego. Każdej nocy umierało około 20 osób. Sanitariusze padali ze zmęczenia, a wielu z nich także zaraziło się. Nocnych dyżurów nie było komu pełnić, więc podjęliśmy się tego zadania my, starzy żołnierze i podoficerowie. Ci, którzy nie mieli dokumentów, byli chowani jako bezimienni, we wspólnej mogile z napisem: „Nieznani żołnierze austriaccy”. Wiem jednak, że byli to żołnierze różnych narodowości. Groby znajdowały się na cmentarzu wojskowym naprzeciw kaplicy...

Około 15 grudnia, gdy epidemia została już opanowana, zaczęły napaływać przeróżne dary dla chorych: wódka, papierosy, mydła, chusteczki do nosa, skarpety, ręczniki i inne przedmioty czy produkty. Trzeba było wszystko składać według asortymentu, żeby potem łatwo podzielić. W wigilię przyszło sześć pań, przygotowały one paczki dla chorych. Tego dnia pracowałem od świtu do godz. 21. Leżałem wprost z nog, gdy przyszli do mnie koleżdy z kompanii sanitarnej mówiąc, że dla nas jest też przygotowane przyjęcie. Odmówiłem, ale za chwilę do magazynu wpadł komendant Dybowski z p. Grabowską denerwując się, że czekali na mnie godzinę, a ja się ociągając. Cóż było robić, poszedłem z nimi do świetlicy udekorowanej sali. Tam spotkałem mnie wielka niespodzianka i jednocześnie przyjemność.

Posadzono mnie koło ślicznej dziewczyny, która mi się od dawna podobała. Matka jej pracowała jako pracznia w szpitalu wojskowym, a ona była prasowaczką. Zalecała mi się do niej nawet oficerowie. Gdy jeden z moich kolegów próbował ją zagadywać odcieła mu się z miejsca. Kiedyś powiedziałem, że z nią to bym się ożenił. Ta ładna, wesola i pełna energii dziewczyna z drugim, siegającym za pas warkoczem została moją żoną. Przejżyłem z nią wspólnie 55 lat i choć zmarła, jest zawsze przy mnie. W pięćdziesięciolecie naszego małżeństwa otrzymałem medal za długotrwałe pożycie.

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

KLUB STAREJ FOTOGRAFII

Odpowiedzi redakcji

J. J. S. Warszawa. Pan notuje nastroje i można to uznać za materiał wiersza, ale gorzej jest z kształtowaniem. Utwór musi mieć jakąś kompozycję, ma być pomyślany jako całość, nie jako fragmenty lirycznych notatek. Oprócz tego, że się doznaje, należy przyjąć pewien rytm, inaczej słowo się nawzajem nie wspomaga, nie tworzą poetyckiej wizji. Funkcjonalność środków — oto czego tym tekstem brakuje.

K. E. N. Chełm. Nie wiem jakiej formy mam w tej odpowiedzi używać. Pani? Pan? Nauczycielka chyba nie może mieć na imię Kazimierz. Ale jeśli przystane już na formę żeńską, to muszę stwierdzić, że próbka do oceny przystana została arcykapo: w sumie 24 wersy. Mimo to jest coś, co i z listu i z tekstów przebiega ponad wszelką wątpliwość: chaos uczuć, nieporządek. Nieporządek, przez który niczego nie mogę się dowiedzieć. Nie wiem, czy wydarzenie z prozkiem było rzeczywistością, czy snem, w jakiej mierze Pani czuje się winna temu, że wróblek nie umiał latać, jaki to ma związek z Pani kwalifikacjami jako nauczycielki, dlaczego Pani o tym wszystkim wspomina oczekując oceny wierszy. Proszę nie sądzić, że jestem niezłe drzewo. Ale co innego odczuć, a co innego poprawować nad wierszem. Tego drugiego Pani nie uczyniła. Pozostało wrażenie ezaltacji, tej dygotki wzruszeń, która Pani bezkrytycznie przyjmuje za pierwszą i zasadniczą poruszenie poetyckie.

K. S. Lublin. Tu trochę lepiej. Przy najmniej wiem o co chodzi. A chodzi o jesień. Mimo jednak pewnej świeżości, która wynika raczej z młodego wieku autorki, nie uniknęła Pani stereotypów. W ogóle radziłbym nie podejmować takich tematów jak „jesień”, „wiosna”, „matka”, „pierwszy pocałunek”, bo nie przynoszą one niczego pierwszego w wierszach. To są pułapki na początkujących autorów.

C. J. Kielce. Wiersz czasami nakierowuje się na sens poetycki, ale są to momenty rzadkie. (Tym mniej liczne, że ilość wierszy z którymi mam do czynienia w niniejszej przesyłce wynosi — słownie — trzy). Razi jednak jakiś późnie skojarzeń, nowodulski brak potrzebnych przemysłów przy konstruowaniu metafory, która niekiedy — przynajmniej — mimo to zyskuje przekonujący wyraz. Pan — zdaje się — pisze za bardzo „swobodnie”. Za mało wysiłku wkłada w prace wyrażania. Jeśli z tego Pan wyrośnie, niewykluczone, że utwory nabiorą ciekawszego charakteru.

K. Cz. Lublin. Muszę być szczery. W tej postaci, w jakiej obecnie się znajduje, ani wiersze, ani proza nie mogą pretendować do miana utworów literackich. To nie jest wyrażanie, to jest gaworzenie. Marnotrawstwo słowa. Jeśli chce Pan pisać, przede wszystkim trzeba postarać się o funkcjonalność określeń, kontrolę nad środkami ekspresji. Byłoby co, to jeszcze nie prostota. Radzę poczekać, skupić się, przemyśleć. Jeśli dalej będzie Pana pisanie interesowało, postawić sobie jakieś wymagania. Na razie to tylko hobby.

S. G. Puławy. Ma Pan rację. Pisane wiersze stało się dziś prawem obyczajowym. Nie wiem dlaczego pisać „wypada”. W mnóstwie tego, co dziś kładzie się na papier, ani cienia walorów literackich, mimo to prawie każdy młody człowiek uważa za obowiązek wypisywać słowa nie kojarzące się pod względem sensu, treści, formy, klimatu. Czy jest to usiłowanie ocieplenia siebie, w nacisku współczesnej mechanicznej rzeczywistości? Kiedyś, w epoce sprzyjającej nawet Izawemu sentymentalizmowi, tylu wierszy nie pisało. Z pewnością łączy się z tym dewaluacja uczuć deflacja słowa. Podzielał tęsknotę do wieku dziewiętnastego, który nam tyłu zmarnotwał — nie tylko w dziedzinie artystycznej — nie przysparzał.

O. R. Sandomierz. Pierwszym zadaniem wiersza jest wyjść z płaszczyzny odbioru. Uzyskać tę elastyczność, jaką daje świeża nieliteracka relacja uczuć. Kiedy zwracamy się do siebie w sprawach życiowych, mowa nasza jest zwykła i prosta. Te właśnie zwyczajność i prostota ma zachować mowa poetycka, tyle tylko, że ma dotyczyć nie terminu raty za tapczan, nie sklepu, w którym można kupić pomarańcze, ale sprawy dla człowieka najważniejszej: jego stosunku do świata. Tak zwane skomplikowanie i niezrozumiałość nie jest znaniem „inteligentnego” pisania, ale koniecznością zachowania wtedy, kiedy skomplikowany jest przedmiot. Pan nie stara się opisywać rzeczy tak, by stały w swej bezosobnej rzeczywistości, za to zawsze pretensyjnie do sytuacji literackich. Stąd papierowość, brak owego trzeciego wymiaru: głębi.

Z. G. Ostrołęka. Pocię nie tyle potrzebna jest umiejętność obserwacji, co sugestywność słowa. Bezpośrednie przeżycie życiowe jest tylko impulsem do napisania wiersza, którego akcja rozgrywa się w scenarii imaginacyjnej. Pan wydatnie się więcej uwagi zwraca na wierność szczegółom niż na ściśle poetycką wymowę swych tekstów, stąd ich anemia, ory pedanterii pisarskiej realizacji. Poetycka wizja to nie sama obserwacja cząstkowa.

Szyfrogram literacki (nr 3)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment noweli znanego polskiego pisarza, którego imię i nazwisko oraz tytuł noweli utworzą pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyncze czarne kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania.

Wyrazy pomocnicze:

- 48. 63. 29. 66. 6. 17 — miasto w woj. katowickim,
- 11. 93. 62. 76. 103. 40 — łuski ziaren pozostałe po zmieleniu,
- 8. 31. 20. 49. 79 — ograniczenie,
- 2. 51. 10. 19. 72. 14. 107 — sojusz Francji, Rosji i W. Brytanii przed I wojną światową,
- 25. 104. 15. 71 — narzędzie rybaka,
- 29. 92. 9. 18. 99. 32 — polska miara długości,
- 8. 16. 44. 53. 74. 45. 98. 102 — wyższa uczelnia,
- 110. 96. 100. 87 — tlenek wodoru,
- 22. 25. 57. 67. 109. 3 — przebywanie drogi,
- 59. 23. 108. 28. 90. 34 — styl w sztuce XVIII wieku,
- 85. 37. 101. 50. 1. 94 — pospolita ryba naszych rzek i jezior,
- 46. 28. 93. 52 — roślina olejista,
- 12. 83. 73. 56. 47. 30. 41. 58 — niechęć, uprzedzenie,
- 13. 78. 106. 30. 70 — więcej niż bleda,

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11
12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33
34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44
45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55
56	57	58	59	60	61	62	63	64	65	66
67	68	69	70	71	72	73	74	75	76	77
78	79	80	81	82	83	84	85	86	87	88
89	90	91	92	93	94	95	96	97	98	99
100	101	102	103	104	105	106	107	108	109	110

- 7. 61. 64. 80. 88 — rejon najlepszych win na Węgrzech,
- 4. 23. 68. 86. 43 — ustawa królewska we Francji,
- 31. 29. 75. 55. 97. 84 — miejsce kierowcy w ciężarówce,
- 60. 65. 91 — aktor grający gestami i mimią,
- 69. 82. 54. 77. 21 — nie chciała Niemca,
- 26. 105. 24. 27. 42 — właściwość danej rzeczy.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 1 było zakończenie „Ludzi bezdomnych” Stefana Żeromskiego:

„Słyszał dokoła siebie płacz samotny, jedyny, płacz przed obliczem Boga. Nie wiedział tylko, kto płacze... Czy Joasia? — Czy grobowe lody kopalni płaczą? Czy sosna rozdarta?”

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu literackiego nr 1 cztery bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Teresa Rachwałska ul. Lanowa 113 m 42, 91-110 Łódź; Tadeusz Buchoski, ul. Krzywa 4, 17-100 Bielsk Podlaski; Krystyna Kaczmarek, ul. 1-go Maja 103, 22-600 Tomaszów Lub.; Krystyna Dołga, ul. 22 Lipca 23/45, 22-100 Chełm Lub.

PORNOKIOSKI

Kolportaż wydawnictw pornograficznych jest u nas zabroniony i faktycznie, w placówkach handlu uspołecznionego nie udało się wyuzdanej nagości w postaci towaru. Odwiedzając rokrocznie miejscowości nadmorskie obserwuję przecie, że w prywatnych kioskach z przeróżnymi, najczęściej tandetnymi pamiętkami pornografii zadomowiła się na dobre. Oczywiście, nie chodzi o ilustrowane, kolorowe magazyny pornograficzne, wypełniające kioski i sklepiki na Zachodzie. Swinstwo-ka sprzedawane w budkach Kołobrzegu, Pobierowa czy Międzyzdrojów mają niewielki format — może proporcjonalny do wrażliwości rodaków? Są to przeróżne broki z kolorowymi fotografiami, przedstawiającymi nagie panienki w takich pozach, że albo wymiotować, albo — czy ja wiem — odpiąć pasek od spodni... Produkcja ta wzbudza wielkie zainteresowanie młodzieży i dzieci do wieku niewinnym (jeśli są jeszcze takie) i znika szybko z półek. Produkcja i handel tymi „drobiazgami” to widać sprawy zupełnie legalne, albowiem wytwórcy tego towaru (prywatni) dołączają do każdej sztuki swoje firmowe metki. Na jednej z nich odczytałem taki adres: 05-150 Łomianki, ul. Warszawska 132, K. Boliński. Ale czy rzeczywiście ten cały proceder mamy uznać za normalny?

Adam Krzemiński

Lublin

USŁUGI, USŁUGI...

Sektor usługowy w krajach rozwiniętych to prawdziwa i bardzo dochodowa machina. Podobno 30 proc. dochodu narodowego Japonii, Francji i Włoch pochodzi z różnego rodzaju usług. Ktośkolwiek zresztą korzystał z usług na Zachodzie, ten wie, jaka to kosztowna przyjemność. W jakim stanie są nasze usługi, orientujemy się doskonale. Owszem, rozkręca się ten sek-

tor i w Polsce, ale jakoś niemrawo. Niedawno zachciało mi się zmodernizować mieszkanie przez wyklejenie jego ścian tapetami. Udałem się do odpowiedniej spółdzielni w Lublinie, gdzie ku memu zdziwieniu dowiedziałem się, że na spotkanie mych marzeń muszę poczekać trzy miesiące. „Dlatego, obywateli, ponieważ ludzi do roboty nie mamy”, wyjaśnił mi pracownik firmy.

Okazuje się, że na brak ludzi do pracy, na brak fachowców cierpią wszystkie dziedziny usług w Polsce. Obawiam się, że w najbliższych latach może powstać z tego całkiem poważny problem. Zapotrzebowanie społeczne na usługi będzie nieuchronnie wzrastać, gdy tymczasem już dziś wiadomo, że grozi nam deficyt siły roboczej. Urban proponował w „Polityce” zrównanie płac saloniuch w szpitalach z płacami docentów, tylko w tej operacji widząc błąd poprawy jakości pracy tych kobiet. Czy zastosowanie dziennikarskiego pomysłu w dziedzinie usług dałoby oczekiwane przez ludzi rezultaty? Zartuje, przecież krawcy, radiotechnicy, ślusarze i kelnerzy zarabiają całkiem przystojnie. „Proszę pana, tu nie chodzi o zarobki, lecz prestiż społeczny. Jest on dość niski, a tymczasem młodzież, szczególnie oni, mają dżitwne aspiracje. Praca w fabryce odzieżowej jest ich zdaniem — jakby lepsza, szlachetniejsza, niż praca w matym zakładzie krawieckim”. Komentarze nie do mnie należą. A tym bardziej wyciąga- nie wniosków.

Kazimierz Grzeško

Lublin

„ZAWZIĘTY” NIE TAK BARDZO

Dzięki za dowcipną notatkę „Zawzięty” w nr 25 z ub. roku. Informacje ściśle, choć w żaden sposób nie mogę sobie przypomnieć, przed kim się wygadałem. „Kameleon” wyszedł w grudniu 75 r., a „Zawzięty” wychodzi dosłownie za 3 dni. Przed końcem roku wyjdzie zapewne krótka powieść z wiosny 1946 roku „Wszystcy i nikt”. No i może warto jeszcze dodać, że po pobudce o 7.00, zawsze o 7.15 gimnastyka poranna.

Janusz Przymanowski

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bęczczy-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zdzisław Mańkowski, Zdzisław Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie kolegium redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19,50. Prenumeratę przyjmują oddziały: RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:

— do dnia 10 każdego miesiąca (z wyjątkiem grudnia) poprzedzającego okres prenumeraty.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne oraz wszelkiego rodzaju inne zakłady pracy składowe zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Zakłady pracy w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych RSW „Prasa-Książka-Ruch” ul. Wronia 23, 00-958 Warszawa.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-18.

Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 165, 23.1.76 r.

Numer łamów: Mieczysław Psujek, drukował zespół pod kier. Wacława Kopca

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu: 38251

Telefony: sekretariat, sekretarz redakcji i naczelny redaktor 255-93, dział publicystyki i literacki 27-35. Korespondencje zwykle prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

czas. 2552/1976/13

falsetem

O gastronomii inaczej

Przychodzą i mówią niekiedy taki:
 — Okno zachlapanie!
 A śnieg wali, wali i wali.
 — Czosnku w bigosie nie czuję!
 Nie każdy lubi czosnek. Są tacy, którzy np. lubią marmeladę. Kto wie, może i w bigosie...
 — Na kieliszku są odciski pałców!
 Przepraszam, a pań! wołałaby te odciski widzieć na...
 Kierownicy lubelskich zakładów gastronomicznych strasznie kochają tzw. kontrolę wewnętrzną.
 — Przyjdzie taka jedna, nudzi się na Lipowej, nie wie, jak czas wypełnić. Naje się i potem zamiast serdecznie poprosić kierownika na zapieczkę, zwraca mu uwagę przy gościach, przy personelu. Czy przedstawiciel Zespołu ma gości z lokalu wypraszać? Czy ma do nas zniechęcać?
 — Ha, ha, ha! Kontrola wewnętrzna też się dzieli...
 — Nie bardzo rozumiem... (to ja).
 — No tak! Na kontrolę wewnętrzną Zespołu i na kontrolę Dyrekcji!...

— PIH?... (to znów ja).
 — PIH jest przynajmniej rozsądny. Powstał, spojrzysz na recepturę i powiesz: „Panie kierowniku, wydaje mi się, że tutaj brakuje jednego deka. Jestem przekonany, że będzie nadwaga przy następnej porcji. Niech pan zwróci uprzejmie uwagę...
 — Wiecej: „Niech żyje PIH” (to ja).
 — Może bez przesady. Ale PIH nie widzi w każdym kierowniku restauracji potencjalnego złodzieja. Natomiast kontrola wewnętrzna...
 — Czujność...
 — Redaktorze, przestań pan giedzić, nie te czasy! Skończyła się jedna z drugiej szkołą, posiedzi tydzień w Dyrekcji czy w Zespole i próbuje uczyć kuchmistrza, który z jednego pieca chleb jada!
 — Może tak właśnie trzeba...
 — Tak, trzeba mówić przy gościach, a potem wyświadczać stopnie.
 — Stopnie? Czy gastronomia to szkoła?
 — Szkółka! Te flaki otrzymują np. trójkę, ten schab dwójkę, te pyzy czwórkę. Potem narada. Siedzą wszyscy i odczytują wyniki. Zakład X ma dwójki i trójki. Zakład Y ma czwórki i piątki. Tylko nikt nie powie, że ten zakład z dwójkami ma zysk, a ten przodujący, z piątkami, przynosi straty.
 — Może właśnie dlatego przynosi straty...
 — Redaktorze, znowu pan żartuje? A czy nie lepiej te panie z kontroli skierować do produkcji? Jeśli są takimi fachowcami, niech pokażą, jak powinno się pracować! Wie pan, ja wyobrażam sobie kontrolę wewnętrzną zupełnie inaczej...
 — ???
 — Po prostu chodził mi o serdeczność. Oczywiście może się zdarzyć takie czy inne niedociągnięcie. Ale czy trzeba o tym mówić tak głośno, aby cała sala styżała? Czy kierownik ma być chłopcem do bicia? Przy gościach, przy personelu. Jeśli dyrekcja ma do nas zaufanie, niech nam rzeczwiście zawierzy!

— Sądze, że chodzi o dobro konsumenta...
 — Zgadza. Ale prasa ciągle też nas bije. To samo z Sanepidem. Przedstawiciele tej instytucji zaglądają do nas nawet trzy razy w tygodniu...
 — Znowu chodzi o konsumenta...
 — Jeśli tak, to dlaczego Sanepid, albo kontrola wewnętrzna nie zajrzy do naszych piwnic? Cztery miesiące stoi już woda w magazynach, wszystko się martwi. Zrobiono u nas kratkę ściekową, tylko woda płynie do n...
 — Pisaliście do Zespołu?
 — Redaktorze, pan żartuje... Mam przedstawić odpisy?

Rozmowy są autentyczne. Nie podaje nazwisk, choć mam nadzieję, że dyrektor naczelny PFG Grzegorz Jajłowicz wie, o kogo chodzi. I jestem przekonany, że zainteresuje się poruszoną problematyczą. Dlatego tak myślę! Wreszcie temu, co pisał JON w poprzednim numerze „Kamenu”, uważam że lubelska gastronomia zrobiła kolosalny krok naprzód. „Powszechna”... „Karczma Słupska”, a nawet ten maleńki bar „Maleńki” czy też „Trojka” po reorganizacji — to już są zakłady, którymi możemy się pochwalić. (Kuchnia — importowana — „Nory” niestety, ciągle nie!). Słowo daję, nie żartuję! Nie żartuję, bo kilka godzin temu wróciłem z Warszawy. Okazuje się, że pod latarnią najciemniej!

Wiecej? Wiecej popatrzeć na własne podwórko, dać więcej tniętych ludziom, awansować tych, którzy się wyróżniają. I może pomyśleć inaczej o wewnętrznej kontroli? Niech się przedstawiciele z tej kontroli (m. in. p. W.) wykażą w samej produkcji? Uchwała II Plenum KC zobowiązuje również i gastronomię!

MAJ

PS. A swoją drogą czekam na listy. Temat jest interesujący.

minuta myślenia

Barbapapa

„Krytyka polska jest zachwaszczona w obecnej chwili przez tyle przesądów i uprzedzeń, że niepodobna mówić o niej w pewnej choćby tylko mierze poważnie, nie wykazawszy jej całkowitej niemal nicności”.

Tę słowa Stanisław Brzozowski napisał w roku 1907, ale aktualność zachowały do dziś. Recenzentka krometrażówka wyparła krytykę, relatywizm ocen dochodzi do tego, że można cytować parami przeciwstawne sobie opinie prawie na każdy temat, refleksja krytyczna na próżno stara się sekundować równie chaotycznej produkcji literackiej znajdując w niej nie lśniącej postawy i formalne eksperymenty. Recenzja nie spełnia swej roli nawet informacyjnej. Próżno orientować się na jej notowania. Na tej podstawie krytyk nie wybierze interesujących go lektur.
 Tygodnik „Literatura” (nr 2) napisał o literaturze. Rzadko to robi, tym bardziej więc pozycja musi zwrócić uwagę. Jest to dyskusja siedmiu krytyków, którzy przy table rondy w redakcji zasiedli do omówienia partii książek wydanych w roku 1975. Zajęcie nader przydatne, mające możliwość wnieśienia jakichś uporządkowań do obrazu przynajmniej jednorodnego pokolenia twórczości pisarskiej, pod warunkiem jednak, że rozmowa posiada jakiś metodologiczny trzon, a nie jest zbiorowypowiedzi, czasem bardzo subiektywnych, niesprawdzalnych

i przez to nie udokumentowanych. A już niechby starała się uniknąć sformułowań wyrażających — mimo zamierzenia dyskusyjnego — humorystycznych. Do takich należy stwierdzenie, że Bartelski jednak przegrywa mecz z Kadensem, że „Krwawe skrzydła” są terenem ożenuku Irykowskiego z Nałkowską itp. Bardzo na wiarę jest to powiedziane, przypuszczać należy, że także bardziej dla efektywności sformułowania, niżeli dla wyrażenia krytycznego stanowiska, co zresztą w wymienionej dyskusji do rzadkości nie należy. Inny dyskusyjant zauważył wielką przydatność krytyczno-literacką wyrazu „kolarz” i nie omieszkał posługiwać się nim z wdziękiem. (Na przyszły raz proponuję termin „kolarz”. Też się da do czegoś przyczepić. Np., że ktoś nacisnąwszy pedał zainicjował ucieczkę przed peletonem).

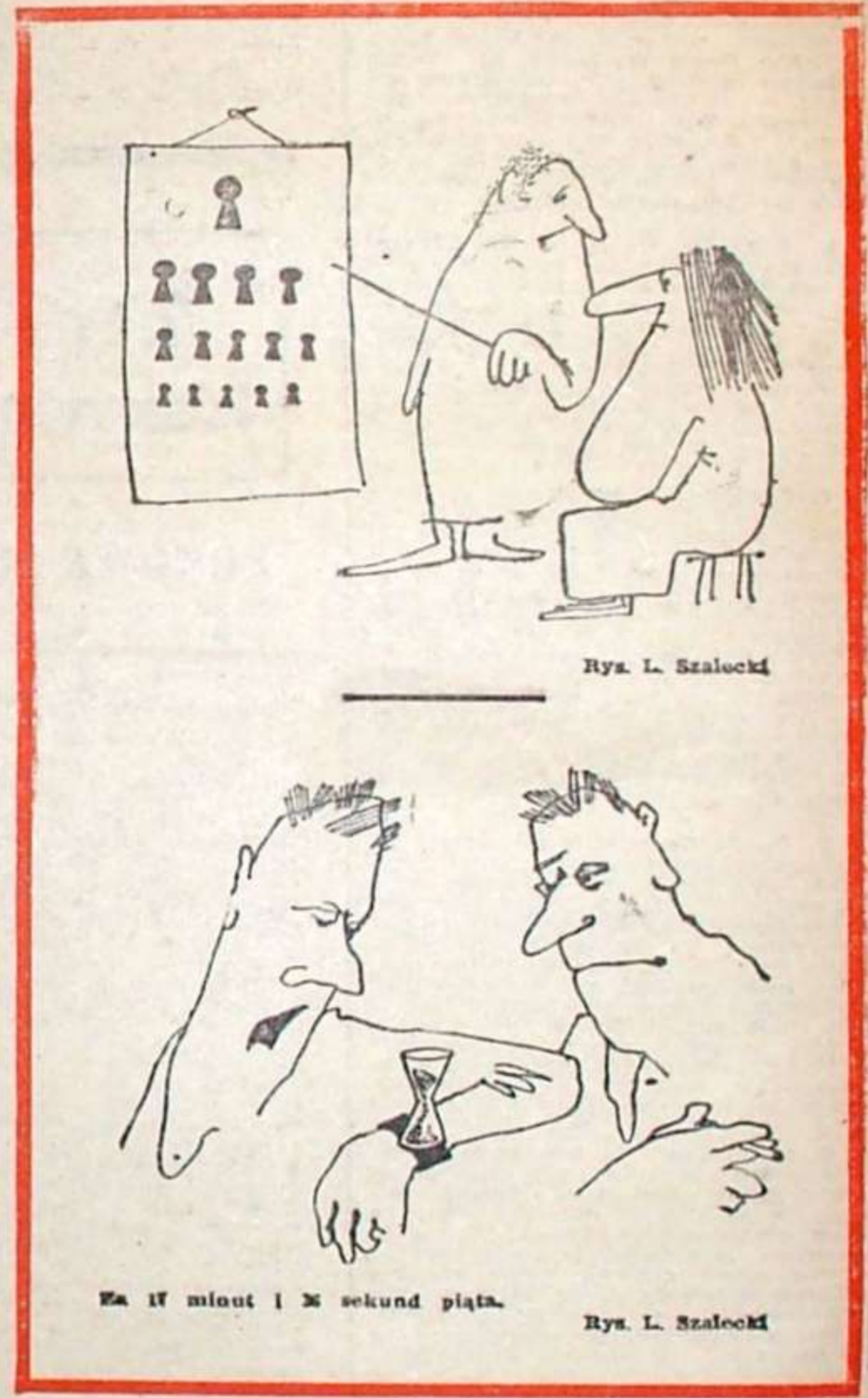
Dyskusja w niektórych miejscach odsłania tzw. rąbek tajemnicy. Np. dowiadujemy się, że istnieje jakiś poeta X, który kiedyś był popierany, później popierany być przestał i to stało się okolicznością sprzyjającą do wydania jego bardzo grubego tomu, że istnieje również jakiś pan Y, z którego poręki mogłoby wyjść 12 tomów pana X przez to, że pan Y nie może mu pomóc. Niezależnie od enigmatyczności nazwisk stwierdzic tu można enigmatyczność widzenia świata, ale to też chyba urok intelektualnego stanowiska. A już niebywałej atrakcji nabrala dyskusja w tym momencie, kiedy przekształciła się w dialog między Heleną Zaworską a Michałem Sprusińskim. Zaworska to, Sprusiński tamto. Podobną kołomyjkę można przeprowadzić w każdym miejscu każdej rozmowy, niezależnie od tego, jakiego przedmiotu dotyczy. A jeśli wolno wtrącić własne zdanie, to już wole realizm mały, mniejszy, a nawet najmniejszy od tzw. „mitologizacji”, która zazwyczaj okazuje się — już bez cudzołowu — mistyfikacją tym skuteczniejszą przez autora podejmowaną wtedy, kiedy nie ma obrazu rzeczywistości.

Sęk w tym, że współczesna literatura jest poszarpana. Zaden czytelnik nie marzy o gleichschaltującym normatywnym wzorcu, ale odeszcie od sprawdzalnego widzenia i nazywania odbiera wspólny język tym wszystkim, którzy są tu zaangażowani. Stąd na zmyśle-

nie mówi się metafora, na odeszcie od realiów — bań, na swobodę i dowolność — inwencja twórcza, na epatowanie — oryginalność, na nieusprawiedliwioną światoburczość — penetracja moralna. Sami autorzy chcą zarobić na nobilitującej wizytówce przeprowadzając rajdy w kierunkach przypadkowych, byle wystarczająco ekspresyjnych i zaskakujących. Krytyka wtedy albo bije brawo „śmiałości”, albo „dezawuuje” i „demaakuje”. Na przykład „Trzęsienie królestwo” Kuśniewicza otrzymało recenzje pełne atencji dla wnikliwości i filozoficznej powagi dzieła znajdującego się na przedłużeniu jakże szacownych poprzednich dokonań pisarskich. Co słyszę od Burka? To „dorywcze”, „rozwickle”, „mało treściwe improwizacje”, oparte przypuszczalnie o „kilkanaście artykułów z tygodnika „Forum”. Po co jednak faszzerowano mnie przedtem opiniami zgola odmiennego autoramentu? To samo przy Nowaku („Dwunastu”), Buczkowskim („Oficer na niesporach”), Auderskiej („Babie lato”). To nie różność stanowisk. To sprzeczne, wykluczające się oceny.

I wcale nie napawa otuchą to, co widać ze strony najmłodszych. Możliwe, że wydany w malej poligrafii tomik Antoniego Pawlaka „Czynny całą dobę” zawiera jakiegoś rewelacje w stosunku do przeciętnej produkcji poetyckiej w Polsce (w co osobiście wątpię), ale nawet jeśli tak jest, to jaśkółka jeszcze nie czyni wiosny. Najmłodsza poezja polska jest artystycznie mało odkrywcza. Zadne odwagi, żadnych poszukiwań, wciąż ten już dobrze zaawansowany w monotonii wzorzec postawangardowy, wyeksplloatowany i uniformizujący aż do straty nazwisk. W prozie natomiast (z małymi wyjątkami) felieton obyczajowy naszpikowany sytuacjami o tyle pikantnymi, by pełniły rolę atrakcyjną, na tyle stanowianymi, by nie przechrzliły wszystkiego w stronę literatury czarnej. A i bezkompromisowość światopoglądowa utemperowana, wiedzącą gdzie luz, gdzie tłumik.

Więc może by warto i tym sprawom poświęcić trochę miejsca? Trochę — na te dwie kolumny druku, z których mimo gwaru tak mało jest krytycznej linii?



Rys. L. Szalecki

Rys. L. Szalecki

Ek 17 minut i 3 sekund pięta.

KOCI Ziemowit Samozyciek PAZUR

— Dlaczego zaraz pody? Musisz używać takich słów? Poważnie myślałem o kupnie samochodu, ale w takiej sytuacji...
 — Samochód, samochód! Dotąd obywałimy się bez niego, możemy i dalej. Jesteś straszny egoista, Michale!
 — Może, ale mamy tyle problemów czekających na załatwienie. Weź chociażby sprusze mieszkania twojego ojca...
 — Nagle okazujesz zainteresowanie? Nie martwiłeś się o to specjalnie.
 — Wiesz, jaki jestem zaganany...
 — Jesteś, jesteś! Nigdy uścisłowie nie wiem, co robisz. Bardzo trudno tłumaczyć się pracą. Licho jednak wie, jak to jest uścisłowie w istocie. Czasem wydaje mi się, że dbasz tylko o własne przyjemności.
 — Rzeczywiście mam tylko same przyjemności. Dziękuję ci za zaufanie.
 — Przepraszam ciebie. Zdenerwowałam się. Ale trochę w tym i twojej winy. Sądziłam, że inaczej zareagujesz. Michale! zrobiło się głupio. Objął żonę ramieniem. Przytulił się do niego z całej siły.
 — Panie Ziemowicie, chyba już skończymy tę zabawę? — Mam jeszcze tyle pomysłów! — powiedziałem i uśmiechnąłem się przyniśnie. Ale posiedzenie kolegium redakcyjnego „Kamenu” ciągnęło się już od kilku godzin i mój uśmiech nie mógł skruszyć żadnego serca. Nawet Naczelny był dziś wyraźnie nie w humorze.

— I cóż pan jeszcze może wymyśleć Michale! urodzi się syn albo córka...
 — Ewentualnie bliźniaki — dorzucił Sekretarz Redakcji.
 — Nawet jeśli będą bliźniaki nie zainteresuje to zbyttnio czytelników.
 — Ale przecież nikt nie może właściwie przewidzieć, co się może wydarzyć. Pomysły czerpię z życia — usiłowalem się bronić. — A życie jest pełne niespodzianek.
 — Już pan dostatecznie naplotkował! — Kierownik Działu Publicystycznego niespokojnie poruszył wąsami. — Pisze pan zresztą, no nazwijmy tak, po wieść, którą w najlepszym wypadku można otwierać wytrychem. A poza tym pewne rzeczy pan przepowiadał: napisał pan o tym portfelu i co się okazało? Faktycznie znamy wypadek, że portfel zginął. Ale zginął dopiero wówczas, gdy pan o tym uprzednio napisał. Czy my wiemy, co może panu strzelić do głowy? I jakie będą tego konsekwencje?
 — No dobrze, ale dajcie mi trochę czasu, muszę znaleźć sensowne zakończenie...
 — A po co zakończenie? — Kierownik Działu Literackiego zrobił przy okazji wykład na temat współczesnej literatury. — Dłuzsza powieść — namienili — musi mieć tylko początek. Koniec nie jest potrzebny.
 — Zaraz, zaraz — nie dawalem za wygraną — ludzie już się przyzwyczaili do Porzeczkowskiego, Wistaja, Bobra, Gęsickiego, do klubu „Dziura”...
 — A dajmy im spokój! Niech sobie pracują! — Sekretarz Redakcji spojrzal na mnie z dezaprobatą.
 — Dobrze, dobrze — ucpiłem się ostatniej deską ratunku — ale, przecież nie ma uzasadnienia sam tytuł: „Koci pazur”.
 — Gdyby pan zatytułował swoje dzieło „Lwi pazur”, miałby pan na pewno rację.
 — No nie, to nie jest fair! — powiedziałem do Naczelnego.
 — Panie Samozycieku — usłyszałem w odpowiedzi — 35 odcinków „Kociego pazura” ciągnęliśmy w „Kamencie” przez cały rok. Mamy przez następny rok kontynuować tę zabawę?
 — Znaczący niepotrzebni mogą odejść! Nie będę się upierał. Ale co zaproponujecie teraz czytelnikom?

Zapadło kłopotliwe milczenie. Myślałem, że moje już będzie na wierzchu, ale znalazł się Włoskodawca, który poddał pod dyskusję projekt powieści pisanej przez czytelników.
 — To nie jest rzecz nowa... — Sekretarz Redakcji, jak zwykle, był sceptykiem.
 Projekt przewodził jednak niedogłębnie. Ukłoniłem się i pożegnałem zacie grono. Niech sobie radzą dalej beze mnie. Ja umyłam ręce.

KONIEC

OD REDAKCJI: Jesteśmy jednak lojalni wobec p. Ziemowita Samozycieka, bo jego ostatni odcinek drukujemy bez zmian. I teraz zwracamy się do Czytelników z apelem: piszcie. Jak to sobie wyobrażamy w praktyce?

W nieprzekraczalnym terminie do 12 lutego oczekujemy propozycji pierwszego odcinka nowej powieści. Objętość do trzech stron maszynopisu. Tematyka musi być współczesna i ciekawa. Oczywiście traktujemy to jako dobrą zabawę. Wspólna zabawa, bo myślimy, że każdy kolejny odcinek wyjdzie spod innego pióra. Mamy nadzieję, że otrzymamy trochę tekstów. Wybierzemy spośród nich, naszym zdaniem, najbardziej udany. Wydrukujemy i będziemy (w określonym zawsze terminie) czekać na następny odcinek — już od innego autora. Co z tego wyjdzie? To nie od nas zależy...

Prace należy wysyłać pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231 z dopiskiem na kopercie: „Powieści czytelników”. Rzecz zrozumiała, że autor tekstu zakwalifikowanego do druku otrzyma honorarium.

A WIĘC DO DZIELA!